EPOKA

ROK III. Warszawa, 5 lipca 1936 r Nr. 3 (68)

Treść numeru:

GDY FALSYFIKAT UDAJE ORYGINAŁ...

Gdy niema jakiegoś niezbędnego towaru, lub gdy zbytnio podskoczy w cenie, wtedy produkuje się namiastki, czyli t. zw. „ersatze", które w czasie wojny znalazły tak szerokie zastosowanie. Natomiast na wypadek zmiany gustów i potrzeb zaprzestaje się fabrykacji danego towaru i przerzuca wytwórczość na inne pole. Jedno i drugie jest logiczne, ma sens i głowę. Cobyśmy jednak powiedzieli o człowieku, któryby mając przedmiot wypróbowany i zupełnie zdatny do użytku, wyrzucił go i zniszczył, aby potem, po namyśle, z trudem i bez odpowiedniej kompetencji, spróbować stworzyć coś podobnego, co jednak siłą rzeczy nie może mierzyć się z lekkomyślnie porzuconym oryginałem? Z pewnością powiedzielibyśmy o takim człowieku, że nie posiada zdrowego rozsądku, a gdybyśmy mieli do czynienia z twórcą czy praktykiem jakiegoś systemu politycznego, mającego pretensję do monopolu i wszechpotęgi, to wbrew zasadom uprzejmości musielibyśmy skonstatować, że zarówno system jak i twórca nie bardzo nadają się do pełnienia roli, którą sobie przywłaszczyli.

Sejm nasz na całym terenie swojej nudnej i niezbyt pilnie obserwowanej działalności odgrywa rolę takiej namiastki, czegoś pozbawionego płci i charakteru, czegoś, co wbrew intencjom autorów i prawom zdrowego rozsądku, zwrócone jest twarzą nie naprzód, lecz wstecz, nie pozwala domyślić się przyszłości i każe żałować przeszłości. Namiastka zawsze przywodzi na myśl oryginał. Jesteśmy dla niej wyrozumiali jak długo jest skromna i nie robi min ponad stan. Gdy jednak rwie się do odgrywania roli, do której nie dorosła, gdy przybiera nieodpowiednie pozy, mogące naiwnych wprowadzić w błąd, wtedy należy uderzyć ją po palcach, przypomnieć czem jest, prosić aby nie robiła tego, do czego nie jest powołana.

Zrzucenie z siebie ciężaru i doświadczeń przeszłości nie jest jednak rzeczą łatwą, zwłaszcza gdy się nie ma nietylko przewodniej ale nieraz wogóle żadnej myśli. Wtedy z braku odwagi czy inwencji — przeszłość i tradycja poczynają kierować pendzlem malarza pseudo-nowatora, który dekonspiruje się jako mimowolny tradycjonista nieświadomy swej roli i niemocy.

W takich warunkach powstają twory szczątkowe, bezsensowne zabytki po epoce, którą postanowiło się zniszczyć i którą chciałoby się zamknąć — jak parlamenty niemiecki, włoski i sejm pol-

ski, ciała w większym lub mniejszym stopniu powołane do kiwania głowami i w małym albo jeszcze mniejszym uprawnione do motywowania tych potakujących ruchów. Mussolini zresztą reformuje to swoje narzędzie. Hitler używa go niesłychanie rzadko. Ale u nas zbyt często powtarza się widowisko nikomu niepotrzebne, widowisko, w które nikt nie wierzy, ani aktorzy, ani nieobecni widzowie.

Nową, choć nieoryginalną u nas jest konstytucja. Nową i bardziej orygnalną jest ordynacja wyborcza, pozwalająca głosować, a nie pozwalająca wybierać, ale zupełnie nieoryginalnym jest stworzony na tej platformie sejm. Czytamy czasem o starych znajdach, o ludziach, którzy nagle stracili pamięć i nie wiedzą kim są i gdzie ich miejsce. Sejm polski przypomina właśnie takiego człowieka. Nie zdaje sobie sprawy, w jakich warunkach powstał i jakim celom ma służyć. A gdy na chwilę otrząśnie się z letargu, wtedy, wiedziony jakimś dziwnie kompromitującym instynktem, zwraca wzrok w przeszłość, poczyna marzyć o swoich poprzednikach, sejmach konstytucyjno - parlamentarnych, demokratyczno-liberalnych, czy jak je tam nazwiemy.

Twórcy systemu, autorzy konstytucji i ordynacji przeklinają przeszłość, „sejmowładztwo", „parlamentarną zgniliznę" i t. d., a tymczasem ich prawowite ale wyrodne dziecko sejm — pomyślany, jako dostojna, rzadko się fatygująca, ale dobrze wynagradzana rada nadzorcza, poczyna odczuwać jakąś dziwną jurność, rozpierają go młodzieńcze impulsy, pragnąłby wyskoczyć ze swojej skóry i z warunków, w których powstał, przerzucić się do innych, z któremi nie ma absolutnie nic wspólnego.

Sejm jako całość ma takie momenty dziwacznej ambicji. Jest wtedy równie śmieszny i równie niesmaczny, jak kastrat zalecający się do pięknej dziewczyny. Nagle ktoś pozbawiony pamięci poczyna deklamować ni w pięć ni w dziewięć, że oto dopiero obecnie objawia się autorytet sejmu, właśnie tego sejmu oderwanego od społeczeństwa i pozbawionego wszelkiej możności oddziaływania.

Narzekało się dawniej na starszyznę sejmową, na konwenty senjorów, na kacyków parlamentarnych i partyjnych, decydujących o wszystkiem i aspirujących do wszystkiego, na te same wiecznie kolejki mówców, na nieustępujących z placu gwiazdorów parlamentarnych, tworzących jeden wielki, pokłócony w swoim obrębie fach. Dziś niema konwentów i niema senjorów ani gwiazdorów, niema partji ani dyscypliny partyjnej, jest szary, przypadkowy, zdezorjentowany tłum nominatów, posłów i senatorów, tłum niemający nic do powiedzenia.

I ten niezorganizowany tłum czuje się nieswojo i niedobrze. Pragnąłby powrócić do dawnych obyczajów, stanąć na dawnej platformie, którą już usunięto. Pragnąłby się zorganizować, zróżniczkować, nabrać poglądów, zdobyć jakieś oblicze i autorytet zbiorowy i indywidualny.

Pragnąłby tego, ale równocześnie i nie potrafi i boi się. Może takie zachcianki poczytane mu będą za złe? Może niebezpiecznie tworzyć pseudopartje, skoro się w swoim czasie potępiło partje prawdziwe? Może nie godzi się brać zbyt serjo gry w parlamentaryzm, skoro się w swoim czasie kiwało głowami i robiło karjery, gdy potępiano skorumpowany sejm i zgniłe sejmowładztwo?

Ale co w takim wypadku zrobić ze sobą? Ciężko dobrowolnie rezygnować z resztek iluzji na temat swego znaczenia, swego autorytetu, ciężko przyznawać się do kompletnej bezsensowności swego istnienia. I tem się tłumaczą różne zmienne i krótkotrwałe próby organizowania pseudo-grup parlamentarnych, efemeryd o anachronicznych nazwach, dosyć przypadkowym składzie, nieznanem miejscu urodzenia i nieznanym grobie.

Sejm, pseudosejm, grupa, pseudogrupa, to wszystko są sprawy ogólne, nie dla każdego uchwytne, niedające się na poczekaniu sformułować ani rozwiązać. Ale człowiek pozostaje człowiekiem i nawet obecny pseudoposeł z pseudosejmu pozostał człowiekiem i dlatego ciągle marzy o tem, jakby dojść do tego, aby zostać prawdziwym posłem, mówić jak prawdziwy poseł, wyglądać jak prawdziwy poseł i utrzymać się na powierzchni tak czy inaczej — bo anuż? — jak tamten wyklinany a niedościgły pierwowzór.

I tu leży istotna tragedja tego rozproszkowanego, indywidualistycznego sejmu bez indywidualności, tego młyna, który nie miele, choć rzuca na wiatr plewę słów, tego motoru, który zgrzyta i huczy, choć żadna transmisja nie łączy go z prawdziwym warsztatem życia.

Świat pustki, świat fikcji, a w nim ludzie, którzyby chcieli znaleźć grunt, zaasekurować się, przetrwać, zostać czemś — w zgodzie z tymi, którzy ich mianowali, ale w razie konieczności nawet wbrew nim.

I tem się tłumaczy to beznadziejne gadulstwo, to rwanie się do głosu ludzi bez znaczenia i kompetencji, którzyby czemprędzej chcieli udowodnić, że są czemś, że działają, że coś znaczą. Tem się tłumaczą te pseudo-interpelacje, pseudo-protesty, pseudoopozycje i zgoła realne intrygi, które jak mętne fale w poczuciu swojej bezsilności rozbijają się o brzeg każdego miarodajnego, choćby nawet niezbyt silnego veta.

Te wszystkie manewry, łamańce, grymasy, są jakimś bezsensownym teatrem, do którego nikt nie chodzi, w który nikt nie wierzy, który niema ani repertuaru, ani rozpisanych ról — i który jedynie dzięki jakimś prawom kaprysu trwa jeszcze przy życiu.

Dr. Włodzimierz Jampolski.



POD OSŁONĄ JASNEJ GÓRY

Wielka manifestacja katolickiej młodzieży akademickiej, jaka się odbyła niedawno w Częstochowie pod hasłem ślubowania wierności Matce Boskiej, jako tej młodzieży Patronce, znalazła inteligentnego komentatora w osobie jednego z najzdolniejszych młodych publicystów obozu konserwatywnego, katolika-intelektualisty, Ksawerego Pruszyńskiego (reportaż „Ślubowanie" w Nr. 658 *Wiadomości Literackich).* Zasadnicza różnica poglądów społecznych i religijno-wyznaniowych bynajmniej mi nie przeszkadza w stwierdzeniu u autora reportażu głębokiej przenikliwości przy *oświetleniu od wewnątrz* charakteru i znaczenia zjazdu jasnogórskiego.

K. Pruszyński wykonał to niełatwe właśnie dla niego zadanie z prawdziwym talentem, w formie dramatycznego imaginacyjnego „djalogu" między przywódcami pielgrzymki a prymasem Polski, udzielającym zgromadzonym 20 tysiącom młodzieży błogosławieństwa papieskiego. Jako koncepcja pisarska, żywo mi to przypomina „rozmowę" Wielkiego Inkwizytora z Chrystusem ze słynnej „Legendy o Wielkim Inkwizytorze" Dostojewskiego. Jak tam, na wszystkie praktyczne wywody przedstawiciela kościoła wojującego Twórca etyki chrześcijańskiej odpowiada milczeniem do końca — tak tutaj „w oczach prymasa było ciągle milczenie", a mówiły tylko „oczy wodzów", których „nazwiska masom studenckim są mniej znane z sodalicyj marjańskich, niż z wielkich ruchów politycznych".

Wyraźnie więc, mimo oględnej formy, Pruszyński potwierdza niewątpliwy zresztą dla społeczeństwa (no i dla niejednego tysiąca samych uczestników) fakt, że jasnogórskie ślubowanie nie było tylko zorganizowaną manifestacją uczuć religijnych dzisiejszych wychowańców szkół akademickich w Polsce. Treść niektórych gromadnych okrzyków podczas pochodu przybywających grup, napisy na wagonach niektórych pociągów ze studentami-pielgrzymami conajmniej nie mogły temu faktowi zaprzeczyć. Nie jest bezzasadnem przypuszczenie, że olbrzymia większość uczestników do oficjalnych słów przysięgi na wierność Patronce Młodzieży Akademickiej łączyła w duchu słowa przysięgi na *wierność ideałom nacjonalistycznym.*

Pruszyński daje temu konkretny wyraz w tym zwłaszcza ustępie imaginacyjnego „djalogu" przywódców z prymasem:

„Oczy wodzów mówiły dalej:

— Ty wiesz, jakie są nasze hasła, jaki nasz program, jakie zamierzenia przyszłości. Ty wiesz, że jest w nich miejsce na nienawiść, niemniejsze od tej jaka huczy za zachodniemi brzegami Twej diecezji. Musiały Cię dobiec nasze okrzyki zrana, hasła wypisane na niejednym pociągu. Znasz walki i zaburzenia, z których wyrośliśmy, na przywódców tłumu. My nie wiemy, co Ty o tem sądzisz. Kościół katolicki ma w swych szeregach kardynałów Faulhaberów, którzy płaszczem swej duchownej godności i puklerzem przykazań Bożych okryli przed innym nacjonalizmem skopane „Judentum" Izraela. Kościół katolicki ma prałata Prądzyńskiego, którego zdaniem antyżydowskie zarządzenia nowych Niemiec stoją w przedziwnej zgodności z postanowieniami konstytucyj apostolskich i synodów. My nie wiemy komu jesteś bliższy, Prądzyńskiemu czy Faulhaberowi. Ale ta młodzież, która stoi masą tysięcy przed Tobą, jest bliższa Prądzyńskiemu... I Ty, prosimy Cię, bądź bliższy Prądzyńskiemu...

I jeszcze milczenie. W jakichś oczach czai się śmielszy błysk:

— ...bo inaczej ci młodzi mogliby odejść...

Ale w większości oczu panuje wahanie:

— lub, jeśli Ci trudno, milcz. Twoje milczenie będzie nam wystarczało..."

Autor otwiera przed prymasem furtkę milczenia, by wydobyć go z kłopotliwej sytuacji.

Czy tutaj jednak jest ten gest usprawiedliwiony — wobec niebezpieczeństw interpretacji owego „będzie nam wystarczało"?...

W „Legendzie" milczał aż do końca Chrystus, bo nie miałby Wielkiemu Inkwizytorowi nic do powiedzenia, prócz przypomnienia mu swych przykazań, które tamten swemi rządami jawnie łamie i znajduje na to duszpasterskie usprawiedliwienie. Więc woli milczeć.

Tutaj jednak nie Chrystus występuje, lecz książe kościoła.

Czyż właśnie w interesie tego kościoła publicysta katolicki, wyznawca katolicyzmu, który „oddzielił się od prądów nacjonalistycznych", nie mógł zabrać głosu, kontynuując przyjętą przez siebie formę, tym razem: „oczy prymasa mówiły"?..

Oczywiście, nie. Gdyż idzie tu o osobę wiadomą, która nie upoważniała go do wyrażania jakichkolwiek myśli w jej imieniu.

Jako dziennikarz, jest Pruszyński w porządku.

Gdyby jednak to nie był reportaż, lecz twór imaginacji, czy nie możnaby sobie wyobrazić u pisarza katolickiego takiego np. fragmentu kazania wyimaginowanego duszpasterza, jako repliki przywódcom:

„W rocie przysięgi wyraziliście przed chwilą synowską uległość dla Stolicy Apostolskiej. Występujecie tu, jako obrońcy wiary katolickiej a czytam w waszych duszach uczucia, sprzeczne z duchem katolicyzmu. tak jak go pojmuje panująca dziś Głowa Kościoła. Wyznajecie doktrynę nacjonalizmu, która nieuchronnie prowadzi do nienawiści rasowej, czy narodowościowej.

„Czyż nie wiecie, że papież Pius XI z siłą i stanowczością akcentował zawsze uniwersalność i międzynarodowość kościoła katolickiego, w samej swej nazwie mającego sens powszechności. Nie mówię tu do prostaczków, lecz do oświeconej młodzieży. Pamiętajcie, że ten kto z wyżyn Stolicy Apostolskiej przewodzi katolicyzmowi jako wierze, pojmując doskonale, że nacjonalizm jest ustawicznem zarzewiem wojen, a pragnąc pokoju powszechnego, potępiał rozpasanie tej doktryny przy każdej okazji *(pauza)* i choć dziś, z wiadomych wam przyczyn, czynić tego jawnie nie może, nie przestaje w duchu protestować przeciw zrodzonemu z kultu egoizmowi nacjonalistycznemu, godzącemu zarówno w podstawy religijne, jak w samą treść społecznej roli kościoła"...

Coś w tym rodzaju, może lepiej, z nakładem brakującego tu krasomówstwa, ale w tym duchu.

I coby na to odpowiedziały „oczy wodzów"?..

Wacław Rogowicz.

PRAWDA CHWILI OBECNEJ

Jest rzeczą dziś już przesądzoną, iż polska inteligencja pracująca nie utrzyma się nadal w stanie bierności i obojętności politycznej wobec potężniejących ruchów masowych. Sytuacja jest bowiem tego rodzaju, iż tok bieżących oraz nadchodzących przemian duchowych i nastrojowych w społeczeństwie wpływać będzie stanowczo na całość bytu materjalnego inteligencji pracującej, na jej stopę życiową.

Zbyt dotkliwie życie społeczno-polityczne kraju odbija się na losie inteligenta i jego rodziny, aby nie zainteresował się on wreszcie całokształtem zjawisk doby obecnej.

Stąd też tworzy się w szeregach inteligencji pracującej dążenie do zbliżenia się do tych masowych organizacyj społeczno-politycznych, które wydają się jej duchowo bliższe, a które mogą zaważyć także na materjalnej stronie jej bytu.

Gdzież więc pójdzie główna masa polskiej inteligencji pracującej i do kogo się przyłączy, skoro sama, oczywiście, odrębnego ruchu masowego stworzyć nie zdoła?

Odpowiedź na to daje samo życie i obserwacja zjawisk codziennych. Inteligencja średnio i wyżej zarobkująca (z zaszczytnym oczywiście wyjątkiem jednostek i grup ideowych) ciąży ku faszyzmowi, to znaczy ku ruchowi społecznemu, który hasło nacjonalizmu i państwowości zużytkowuje dla własnego celu ze znanym już powszechnie wynikiem na gruncie społecznie reakcyjnym. W ten sposób zechce się uprzywilejowana dzisiaj warstwa inteligencji utrzymać na obecnym poziomie życiowym i zapewnić sobie i najbliższym dostatnią stopę życia. Natomiast inteligencja pracująca „nisko uposażona" (w tem np. całe nauczycielstwo szkół powszechnych i zawodowych) włączy się niewątpliwie w swej przeważającej części do masowego ruchu świata pracy, w którym jeżeli nie uzyska rychło poprawy bytu materjalnego, to jednak osiągnie te korzyści społeczne i moralne, jakie przynosi każda istotnie demokratyczna forma życia.

Tempo i rozmiar tego ruchu zależeć będzie zarówno od wewnętrznej przemiany w warstwie inteligencji pracującej, jak również od mniej czy więcej skutecznych nacisków i oporów rządzących dziś w Polsce sfer politycznych.

Jedno jest pewne. Jesteśmy już w ogniu tych wielkich przemian społecznych, rozstrzygających o bliskiej przyszłości Polski.

Sytuację obecną charakteryzuje ponad wszystko niesłychanie ważny element, którym jest istotna, najdosłowniej rozumiana, powszechna nędza mas w Polsce. Tym właśnie głównym czynnikiem popędowym wielkiej przemiany jest w swej najprostszej postaci brak podstawowych środków do życia. Głodny bowiem jest przedewszystkiem w swej olbrzymiej masie małorolny chłop, który nie widzi na przednówku, w okresie wielu miesięcy, chleba, więc tego produktu, którego ma być głównym, a właściwie jedynym wytwórcą. Głodną jest wielka rzesza notowanych i nienotowanych bezrobotnych w miastach i miasteczkach, ludzi, którzy tylko z dnia na dzień zdobywają okruchy żywności. Niemniej wynędzniały jest też pracujący inteligent, którego codzienne, może nieco bardziej zapewnione środki egzystencji materjalnej, zaledwie utrzymują przy życiu, a który dziś jeszcze niezawsze chce się przyznać do tego, iż właściwie osiągnął już dno nędzy swego zawodu i swego środowiska.

Ten ponury czynnik — nędza powszechna — jest właściwie tem, co zdecyduje o naszej przyszłości. Raz dlatego, że jest zjawiskiem masowem, a powtóre dlatego, że to zjawisko masowe w obecnych warunkach społeczno-gospodarczych nietylko się nie pomniejsza, ale rośnie.

Posłowie sejmowi gorąco oklaskiwali zapowiedzi przedstawicieli rządu, którzy rzucili hasło „nakarmienia głodnych" przez zaofiarowanie im pracy. W rzeczywistości jednak rząd ogranicza się do troski o bezrobotnych miejskich, pomijać zaś musi miljony tych, którzy ciężki i tragiczny los bezrobotnych znoszą po wsiach i osadach.

Ale gdybyśmy nawet ograniczyli się tylko do bezrobotnych miejskich, to mamy prawo zapytać, skąd gospodarka teraźniejsza wynajdzie i zgromadzi środki materjalne na zaspokojenie statystycznie już stwierdzonego głodu mas?

Ze wsi nie wyciągnie ona już nic! Ta wieś zaś, która coraz to widoczniej przestaje brać udział w spożywaniu dóbr przetwórczych, a nawet przez siebie wytwarzanych surowców (wieś nie spożywa ani jaj, ani tłuszczu i mięsa), ta wieś stanowi 70% ludności kraju.

Miasta nasze to przedewszystkiem rzesze bezrobotnych, a potem zastępy nędznie zarobkujących rzemieślników i robotników. Stąd również nie da się zebrać potrzebnych na aktywizację życia kapitałów.

Czyż więc apostołowanie w ramach dotychczasowej gospodarki hasła o nakarmieniu głodnych, choćby się w treść tego hasła najgoręcej wierzyło, nie jest tylko zapowiadaniem cudu?

Głód masy społecznej w Polsce nie da się zaspokoić, ponieważ nie posiadamy potrzebnych do tego dóbr materjalnych. A nie posiadamy ich, ponieważ nie jesteśmv dziś w stanie ich wytworzyć w takiej ilości, jaka jest niezbędna. Natomiast zmieniając zasadnicze formy naszego życia zbiorowego, stworzymy dopiero odpowiednie dla poprawy bytu warunki. Gdy zaś zrozumiemy i stwierdzimy, iż poprzednie lata prób i eksperymentów gospodarczych zawiodły, to zgodzić się musimy, iż pchnąć życie gospodarcze na nowe tory zdoła ten tylko, kto szuka dzisiaj pracy i chleba i który musi zdobyć się na największy wysiłek dla utrzymania swego istnienia — a więc polska rzesza ludowa, a więc polski świat pracy, a w jego szeregach ta część inteligencji, która losem swym codziennym do warstw tych jest zbliżona. I to jest prawda chwili obecnej.

Nędza mas — to rujnowanie państwa, które się wspiera na masach.

Jakże niedorzeczne bywają oskarżenia, kierowone przeciw tym, którzy wołają o głębokie reformy gospodarczo-społeczne, oskarżenia o to, że podważają przez to byt i rozwój państwa. Wprost przeciwnie, ci właśnie, którzy chcą walczyć o nowe, doskonalsze formy współżycia w gospodarce, w społeczeństwie i państwie, ci, ratując siebie, ratują równocześnie byt państwa. I to jest prawda fundamentalna, gdy tymczasem wszystko inne jest tylko iluzją, która poi naiwnych, ale nie nakarmi głodnych.

Jan Rola.

O D G Ł O S Y

PRZEMILCZANA UCHWAŁA

Prasa codzienna, opisując przebieg święta ludowego, w którem wzięło udział przeszło miljon chłopów, podała treść uchwał, powziętych tego dnia na wielkich zgromadzeniach. Włościanie więc domagali się: 1) wprowadzenia konstytucji, opartej na podstawach demokratycznych, 2) zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu i Senatu, 3) rozwiązania dzisiejszych Izb ustawodawczych i ciał samorządowych, które nie są wyrazem woli narodu, 4) przeprowadzenia nowych, uczciwych i bezstronnych wyborów na zasadach demokratycznych.

Prasa przytoczyła także rezolucję włościan, domagających się wyprowadzenia Polski z obecnego, groźnego położenia, z katastrofy gospodarczej, drogą gruntownej przebudowy społecznej.

Jednakże „kurjerki" przemilczały celowo jeden z najgłówniejszych i najważniejszych postulatów, podnoszony na zgromadzeniach świątecznych a zorganizowanych przez Stronnictwo Ludowe. Jakoś niezręcznie było wymieniać postulat, który jest probierzem zasadniczego stanowiska ludowców wobec przebudowy ustroju społecznego w Polsce. Chodzi mianowicie o postulat wywłaszczenia wielkiej własności ziemskiej bez odszkodowania, wysunięty przez Stronnictwo Ludowe, które uważa wywłaszczenie to za akt sprawiedliwości społecznej i konieczności państwowej. W swoim organie „Zielony Sztandar" (Nr. 24) oświadcza, że ...„myśl ta nie jest bynajmniej demagogją, mającą na celu rozbudzanie egoistycznych instynktów szerokich mas przeciwko klasie posiadającej i zyskania popularności. Jest to dążenie do przebudowy obecnego ustroju, opartego na równości i sprawiedliwości społecznej".

Wyjaśniając dalej swoje stanowisko, Stronnictwo Ludowe dowodzi, że „nie jest to bynajmniej, jak twierdzą przeciwnicy, myśl komunistyczna, obalająca prawo własności. Przeciwnie. Jest to realizacja prawa własności, ale na nowych podstawach. „W nowym, przyszłym ustroju Polski — mówi „Zielony Sztandar" — „prawo własności będzie oparte na pracy i sprawiedliwości, podczas gdy wielka własność ziemska powstała z przemocy i wyzysku".

Jakież to więc poczucie „obowiązku dziennikarskiego" kazało pominąć w „kurjerkach" i dławić milczeniem tak ważną uchwałę?

MAGISTRACKA KRUCJATA

Prasa codzienna doniosła, że po rozsławionym zjeździe pracowników kultury we Lwowie prezydjum miasta wystosowało do dyrekcji teatrów miejskich ostry list z ostrzeżeniem, iż w razie powtórnego wynajęcia sali teatralnej bez zapytania prezydjum miasta, uważać będzie można umowę dzierżawną z teatrami za zerwaną. Ze stanowiska porządku można to ostrzeżenie zrozumieć i uznać. Innej natomiast rzeczy zrozumieć nie można, ani się z nią pogodzić. Oto bowiem prezydjum miasta postanowiło nie odnawiać umów z tymi członkami zespołu teatralnego, którzy wzięli udział w akademji zjazdowej. To drakońskie zarządzenie w stosunku do artystów teatru posiada cechy pospolitej zemsty politycznej. Wyznawanie jakiejkolwiek wiary politycznej nie było dotychczas warunkiem pracowania w teatrze. Niestety stwierdzić wypada, że w tym wypadku, prezydjum miasta uległo hypnozie i zahukaniu przez kurjerki, skłoniwszy głowę przed majestatem głupstwa. Miasto uwierzyło, że popełniło grzech śmiertelny, który wymaga ekspiacji. Wydano tedy na ofiarę kilku aktorów. Jakież są w teatrze probierze tej eksterminacji? Przekonania polityczne? Gdyby się odbyła prawicowa akademja we Lwowie, czy teżby usunięto za to prawicowych artystów?

Zająwszy wobec zjazdu lwowskiego krytyczne i odrębne stanowisko, uważamy dziś za konieczne przygwoździć zamiar rugowania lwowskich artystów za ich udział w akademji, czy też za ich poglądy polityczne.

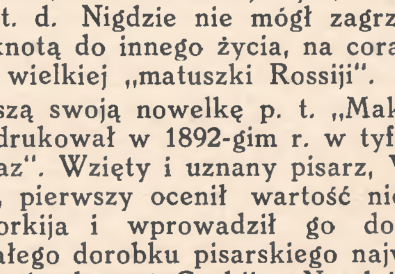
MAKSYM GORKIJ

Zmarły w tych dniach znakomity pisarz rosyjski, Maksym Gorkij, należał do tej świetnej plejady zbuntowanych pisarzy, którzy w epoce przedwojennej byli czczeni i uznani przez wszystkie żywioły rewolucyjne, zmagające się z carską przemocą. I u nas poczytność Maksyma Gorkija rosła w olbrzymiej skali nietylko dzięki temu, że twórczość jego była dziełem wielkiego artyzmu, lecz również dlatego, że natchniony pisarz pełnił rolę nieustraszonego herolda, wzywającego do skruszenia carskiego despotyzmu i walki o wyjarzmienie rzesz pracujących.

Aleksiej Maksymowicz Pieszkow — prawdziwe imię i nazwisko Maksyma Gorkija — urodził się w Niżnim Nowogrodzie dn. 14-go marca 1868 r. Zanim zdołał pójść za głosem powołania, Gorkij imał się najróżniejszych zajęć: był chłopcem na posyłki, piekarczykiem, stróżem kolejowym, kuchcikiem na okręcie i t. d. Nigdzie nie mógł zagrzać miejsca, gnany tęsknotą do innego życia, na coraz to innych obszarach wielkiej „matuszki Rossiji".

Pierwszą swoją nowelkę p. t. „Makar Czudra" Gorkij wydrukował w 1892-gim r. w tyfliskiej gazecie „Kaukaz". Wzięty i uznany pisarz, Włodzimierz Korolenko, pierwszy ocenił wartość niepospolitego talentu Gorkija i wprowadził go do literatury. Spośród całego dorobku pisarskiego największą sławą cieszył się dramat Gorkija „Na dnie", a także książki autobiograficzne: „Dzieciństwo", „Wśród obcych ludzi" i „Moje uniwersytety", odtwarzające w sposób niezmiernie prawdziwy grozę ówczesnej rzeczywistości.

Po rewolucji październikowej Gorkij, który był osobistym przyjacielem Lenina i czynnym socjalistą, opowiedział się po stronie sowietów i wkrótce stał się w Rosji sowieckiej jednym z największych autorytetów moralnych. Literatura światowa straciła jedną ze swych najwybitniejszych postaci.



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

CHŁÓD I OBOJĘTNOŚĆ

Komu zamało jeszcze było dzieł, broszur i artykułów o dyktaturach, ten wzbogacić może swą wiedzę książką o dyktatorze Portugalji — Salazarze (przekład polski dr. Boyego).

Jest to zbiór wywiadów portugalskiego dziennikarza Antonia Ferro z portugalskim dyktatorem, premjerem i ministrem skarbu w jednej osobie — Oliveira Salazarem.

Książkę poprzedził wstępem sam Salazar i tak legitymuje dyktaturę w swoim kraju.

„Wojskowy rodowód dyktatury portugalskiej nadawać będzie zawsze naszej rewolucji cechę specjalną. To nie partja — siła rewolucyjna zagarnęła władzę, lecz armja — organ Narodu — który interwenjował, aby stworzyć warunki konieczne do powstania rządu narodowego, wymierzonego przeciw partjom..."

I dalej, odwołując się do wspaniałej historycznej przeszłości Portugalji i uwydatniając jej współczesną dekadencję, konkluduje Salazar:

„Oto dlaczego trzeba narzucić narodowi i jego zbiorowemu życiu nowe dyrektywy, zużytkowując wspaniałe zalety rasy i neutralizując niektóre jej wielkie wady. Portugalja odrodzi się, dzięki nowej mentalności".

Po tym wstępie następuje kilka dłuższych wywiadów, w których dziennikarz — niekiedy aż zuchwale ciekawy — zasypuje dyktatora gradem pytań z wszelkich dziedzin: o monarchistach, o republice, o dyktaturze, o armji, o cenzurze, o partjach politycznych, o wszelkich zagadnieniach społecznych, o faszyźmie...

Dyktator odpowiada na wszystkie pytania cierpliwie, wyrozumiale, obszernie i nawet podobno szczerze.

Pomińmy jednak te djalogi, aż do chwili, kiedy dziennikarz — niby od niechcenia — zauważy:

„W Portugalji wszyscy... uznają materjalne dobrodziejstwa dyktatury, jednakże daje się wyczuwać jakieś niedomówienie, pewien niepokój, pewną skłonność do niezadowolenia, które płyną z ***chłodu środowiska***, być może z izolacji szefa"...

Na co dyktator, przyparty do muru, przyznaje odważnie:

„Ja pierwszy wyczuwam doskonale dokoła siebie ten *chłód* o którym pan mówi. On właśnie stanowi jedną z *największych trudności sytuacji*. Wszystko, czego się dokona: rzeczy pożyteczne, najpożyteczniejsze nawet, *padają w próżnię*, giną pod powłoką lodu, napotykają na idealną *obojętność*".

Niedyskretny dziennikarz nie chce przeciągać struny i notuje dalej na kilku kartkach, potrąca to o to, to o owo, aż uchwyciwszy dogodną sposobność, znowu zaszachuje dostojnego partnera pytaniem: czy jednak nie dałoby się zbliżyć dyktatury do ludu?

— Zbliżyć dyktaturę do ludu — odpowiada żywo Salazar — niezależnie od zewnętrznego dzieła propagandy, którą uważam zresztą za konieczną, znaczy to rozstrzygnąć niecierpiące zwłoki problematy: problemat bezrobocia naprzykład. — Dyktator więc, całkowicie potwierdza chłód i obojętność społeczeństwa na wysiłki dyktatury.

„Padają w próżnię" — żali się.

A zbliżenie dyktatury do ludu da się — jego zdaniem — urzeczywistnić jedynie drogą propagandy i bezpośredniego rozwiązywania zagadnień, np. przez usunięcie bezrobocia.

Abstrahując od stosunków portugalskich i wogóle od wszelkich konkretnych stosunków widzimy w wynurzeniach Salazara potwierdzenie objektywnej prawdy, że reakcją na rządy autokratyczne jest chłód i zobojętnienie społeczeństwa na sprawy państwa.

Ci, którzy dyktatury nie uważali nigdy za dobrą formę ustrojową i wdzięk naszych czasów, nie od dziś znają tę prawdę i wiedzą, że rządy tego typu najskuteczniej odspołeczniają i odpaństwowiają masy.

Każdy obywatel, którego państwo przeszło tę współczesną odrę ustrojową, sam na sobie może obserwować proces obniżania się temperatury zainteresowań sprawami państwa w miarę występowania wysypki dyktatorjalnej. Masy, celowo i systematycznie usuwane przez dyktaturę od udziału w sprawach państwa, z czasem zaczynają okazywać najpierw chłód, później zgoła obojętność, (nad czem boleje dyktator Portugalji), wreszcie wpadają w apatję (o czem dyktator już milczy). Bo tylko aktywny udział obywateli w życiu państwowem wytwarza ich pozytywny stosunek do rządzonego przez się państwa.

Współczesny obywatel we własnem państwie chce być także podmiotem, a nie tylko przedmiotem władzy państwowej. Gdy mu to zostaje odjęte zaskorupia się w egoistycznych interesach, obojętniejąc na sprawy publiczne.

Stare to prawdy, nowością jest natomiast, że fakt tego chłodu i zobojętnienia dostrzegł wreszcie i z niepokojem przyznaje jeden z dyktatorów.

Jakże chce mu zaradzić? Zapomocą propagandy, t. j. wmówienia w społeczeństwo, że jest inaczej, niż ono widzi, myśli i czuje i zapomocą rozwiązywania palących zagadnień, jak bezrobocia.

Pierwszy sposób jest zawodny: propaganda wewnętrzna to zastrzyk narkotyku, który wprawdzie znieczula organizm, ale na krótki tylko okres czasu.

Za to drugi środek jest znakomity: usunąć bezrobocie, przezwyciężyć kryzys, dać dobrobyt masom — któż temu nie przyklaśnie.

Jednak dyktatura tych palących zagadnień nie rozwiązała nigdzie i dlatego trafność djagnozy Salazara w ocenie postawy mas pozostaje w mocy: chłód i obojętność.

St. Czosnowski.

*) Antonio Ferro: Dyktator współczesnej Portugalji, Salazar. Warszawa 1936. Instytut Wydawniczy Biblj. Polskiej.

TROCKI O LENINIE

Życiorys Lenina, skreślony przez Trockiego [1]) obejmuje dotąd tylko dzieciństwo i wczesną młodość twórcy państwa sowieckiego do chwili jego wyjazdu na studja uniwersyteckie do Petersburga.

Późniejszym latom poświęcone będą dalsze tomy.

Zatrzymajmy się na paru ciekawszych punktach życiorysu Lenina, uwydatnionych przez Trockiego.

Pierwszym jest pochodzenie i otoczenie. Ojciec Lenina, Eljasz Uljanow, jest urzędnikiem państwowym, kolejno nauczycielem, inspektorem, wreszcie dyrektorem szkół powszechnych. Wspina się skutecznie po drabinie hierachji urzędniczej, uzyskuje stopień tajnego radcy, dziedziczne szlachectwo, tytuł ekscelencji, ustala dobrobyt rodziny. Wśród ludzi ma opinję dobrego i liberalnego człowieka, liberalizm jego jednak mieści się zupełnie wygodnie w ramach carosławia i prawosławia. Jest pobożnym religjantem i w swej działalności pedagogicznej kładzie nawet specjalny nacisk na wychowanie religijne. Żonaty jest z córką lekarza i właściciela dóbr. Sam zresztą także z czasem dochodzi do dostatku, mieszka w Symbirsku we własnym domu, a rodzina po jego śmierci sprzedaje ten dom i nabywa wzamian majątek ziemski.

Stary Uljanow i jego rodzina otaczani są powszechnym szacunkiem prawomyślnego odłamu społeczeństwa i łaskawą przychylnością władz. Dom ten jest w najprzyjaźniejszych stosunkach z domami miejscowej wysokiej biurokracji. Ani cień buntu nie pada na strzechę domu Eljasza Uljanowa...

Lenin wzrasta więc w atmosferze burżuazyjnej, urzędniczej, powiedzmy z rosyjska „czynowniczej". Śmiałe powiewy rewolucyjne zatrzymywały się u drzwi tego domu i nie przenikały wewnątrz.

Tę burżuazyjność pochodzenia i rodzinnego środowiska Lenina Trocki podkreśla z naciskiem, bezlitośnie burząc wszystkie legendy, jakie na ten temat zdążyli już rozpuścić różni biografowie Lenina. Z ich opowieści wynikałoby, że Lenin niemal z mlekiem matki wyssał rewolucyjność, że przesiąkał nią w otoczeniu domowem, że ojciec kształtował jego duszę w tym kierunku i sam świecił mu przykładem. Oficjalny panegiryzm, który na czerwonym gruncie Sowietów krwawi się niegorzej niż na każdym innym, tak właśnie to przedstawiał, usłużni bowiem biografowie uparli się dorobić Leninowi domową atmosferę dzieciństwa godną jego późniejszych czynów.

Trocki rozprawia się z tą metodą, kpi z panegirzystów i mówi jak było naprawdę.

To legendoburstwo jest drugim charakterystycznym rysem książki. Bo nie jest to jedyny wypadek, kiedy urzędowa historjografja Sowietów usiłuje nagiąć historyczną prawdę do doraźnej korzyści doktryny. Stosunek Lenina do religji, do Marxa, pierwsze rewolucyjne porywy jego duszy — wszystko to bywa stale przeinaczane przez nadgorliwców i tu właśnie powstaje Trocki i prostuje: nie, nie było tak, lecz inaczej, mianowicie i t. d.

Naprzykład ad usum bezbożnictwa powstała legenda, jakoby Lenin w najwcześniejszem już dzieciństwie nietylko przestał wierzyć, ale że kiedyś zerwał z szyi ofiarowany mu przez matkę krzyżyk, rzucił go na ziemię i podeptał.

Trocki zaś zestawieniem cytat i faktów udowadnia, że Lenin, wychowany w religijnym domu, był dzieckiem wierzącem, jak wszystkie inne, że pierwsze wątpliwości religijne obudziły się w nim dopiero w 16 roku życia, a scena z podeptaniem krzyżyka jest wogóle wyssana z palca.

W książce swej o Leninie Trocki odgradza się jaknajstaranniej od wszelkiej taniej propagandy: chce służyć prawdzie historycznej i ułatwia jej wypłynięcie na wierzch. To „odbronzowianie" Lenina nie jest jednak bynajmniej złośliwem pomniejszaniem go.

„Nie potrzebuję legendy o Leninie — oświadcza Trocki — wystarcza mi w zupełności Lenin taki, jaki był naprawdę".

Bardzo dużo miejsca w życiorysie Lenina zajmuje jego brat Aleksander. Ukochany, czczony niemal, starszy o lat kilka brat, młodzieniec — sądząc z jego portretu duchowego — niezmiernie wartościowy, szlachetny i ujmujący. Aleksander jako student uniwersytetu petersburskiego bierze udział w ruchu terorystycznym, a pojmany, ledwo osiągnąwszy pełnoletniość — zostaje powieszony wraz z czterema towarzyszami.

Dopiero cierpienie zrodziło nienawiść, a nienawiść — pragnienie zemsty. Krwi wszystkich carów nie wystarczy, by ugasić to pragnienie! Grunt jest już przygotowany pod siew idei rewolucyjnych. Ten zwrot jest momentem startu Lenina do walki z ustrojem.

Obiit Uljanow — natus est Lenin. W związku z procesem i kaźnią Aleksandra Uljanowa znajdujemy w książce Trockiego ciekawą wzmiankę o zamieszaniu w tym procesie braci Bronisława i Józefa Piłsudskich, „synów bogatego ziemianina", jak ich swoim czytelnikom prezentuje autor. Bronisław oddał do rozporządzenia Aleksandra Uljanowa swoje studenckie mieszkanie w Petersburgu; Józef uwięziony został jako świadek. O Bronisławie Trocki wyraża się ujemnie, a o Józefie pisze dosłownie: „...zeznawał niezmiernie ostrożnie, ale dowiedziono mu, że wysyłał z Wilna depesze w umownym żargonie rewolucyjnym".

W I-ym tomie życiorysu Lenina najmniej miejsca poświęcono samemu Leninowi. I nie dziw: tom ten to tylko tło stosunków politycznych, społecznych i obyczajowych w Rosji, w drugiej połowie zeszłego stulecia, oraz stosunków wewnętrznych w rodzinie Uljanowych. Na tem tle w następnych tomach życiorysu zarysuje się zapewne potężny masyw sylwetki czerwonego dyktatora. W pierwszym tomie widzimy dopiero jego młodzieńczy profil.

Trocki cytuje głosy wielu pisarzy i publicystów jak Czirikowa, Jasniewa, Wodowozowa, a więc bynajmniej nie reakcjonistów, lecz dawnych współpracowników Lenina, którzy przedstawiają go jednak ujemnie jako zarozumialca, okrutnika, brutala, szydercę, pozbawionego poczucia moralności... Trocki tłumaczy nam, że to są niskie inwektywy przeciwników i zawistników.

Wbrew temu zapewnieniu trudno oprzeć się wrażeniu, że profil Lenina, który nam się zarysował w pierwszym tomie książki Trockiego, właśnie bardzo przypomina te rysy, jakie wycieniował np. Wodowozow.

St. Cz.

[1]) Leon Trotsky: Vie de Lenine. Jeunesse Traduction de Maurice Parijanine, revue et approuvé par l'auteur. Paris, 1936.

MAKSYM GORKIJ.

OGRODNIK

Luty, rok 1917.

Obryzgając błotem mury domów i ludzi, mkną przez miasto z hukiem i rykiem auta ciężarowe, natłoczone żołnierzami, okryte lasem stalowych bagnetów, niczem ogromne podrażnione jeże.

Kiedy niekiedy słychać suchy grzechot strzałów. Rewolucja. Lud rosyjski uwija się, krząta około wolności, jakgdyby musiał jej szukać gdzieś zewnątrz siebie, a nie w sobie.

W parku aleksandrowskim pracuje samotnie ogrodnik, człek pięćdziesięcioletni, przysadzisty, nieokrzesany, ociężały. Spokojnie zmiata liście i śmiecie ze ścieżek i klombów, zgarnia tający śnieg. Zda się, nie interesuje go zgoła gorączkowy ruch wokoło, zda się — nie słyszy ryku syren, krzyków pieśni, nie widzi czerwonych sztandarów. Obserwuję go i czekam aż podniesie głowę, by spojrzeć na ludzi, mijających go w pośpiechu, na auta ciężarowe połyskujące bagnetami; on jednak zgięty pracuje wciąż uparcie jak kret i zda się tak samo ślepy.

Marzec.

Ulicami, alejami parku, wiodącemi do domu ludowego, maszerują zwolna setki, tysiące szarych żołnierzy; niektórzy ciągną za sobą karabiny maszynowe na powrozach jak żelazne warchlaki. To przybył z Oranienbauma jakiś niezliczony pułk karabinów maszynowych; jak mówią, ponad dziesięć tysięcy chłopa. Nie mają gdzie się podziać, od wczesnego ranka wędrują po mieście, szukając schronienia. Obywatele obawiają się ich — żołnierze są głodni, znużeni i źli. Oto kilku pokładło się na skraju wielkiego, okrągłego klombu, rzuciwszy na jego środek broń, karabiny maszynowe i plecaki. Bez pośpiechu zbliża się ku nim ogrodnik z miotłą w dłoni i gniewnie na nich krzyczy:

— No, gdzieśta się porozkładali? Tu klomb — kwiaty się zasadza. Plac dla dzieci. No dalejże, wynośta się stąd!

I źli, uzbrojeni ludzie złażą posłusznie z klombu.

Lipiec.

Żołnierze w hełmach stalowych przyzwani z frontu otaczają fortecę Petropawłowską. Nie śpiesząc się, krocząc po drewnianym bruku, drożynami parku, ciągną karabiny maszynowe, niosą broń niedbale przerzuconą przez ramię. Od czasu do czasu ten i ów z nich woła do przechodniów:

— Rozejść się! Zaraz będą strzelać!

Mieszkańcy jednak pałają chęcią przyjrzenia się walce; skradają się cicho jak lisy, idą wślad za żołnierzami, kryją się za drzewami, wyciągają ciekawie szyje.

W parku aleksandrowskim kwitną kwiaty, ścieżkami ogrodu idzie stary ogrodnik, idzie tam i zpowrotem. Odziany jest w czysty fartuch, w dłoni trzyma rydel, krzyczy na kilku żołnierzy i widzów jak na baranów:

— He, dokąd? Gdzie leziesz na trawę? Nie macie miejsca na chodnikach?

Brodaty, miedzianolicy wieśniak w uniformie żołnierskim, trzymając broń pod pachą, powiada do ogrodnika:

— Patrz, stary, będziemy strzelać...

— A strzelajże sobie...

— Wojujemy bracie!

— Wojujcie sobie — ja mam coś inszego do roboty.

— Tak to. Niema co popalić?

Wyciągając kopciuch z kieszeni, ogrodnik mruczy głośno:

— Chodzicie, gdzie nie można!

— Wojna!

— Też mi coś! Wojować to rzecz prosta, a ja tu sam jestem. Lepiejbyś ten karabin oczyścił, całkiem zardzewiały...

Przeciągły gwizd przeszywa powietrze, żołnierz nie zdążywszy zapalić fajki, biegnie między drzewa, a ogrodnik splunąwszy za nim, woła:

— Gdzie, do licha? Niemasz innej drogi...

Jesień, 1917.

Z drabiną na plecach, z nożycami w dłoni, ogrodnik kroczy aleją, podcina drzewa. Wychudł, skurczył się, odzież wisi na nim jak żagiel na maszcie w dzień bezwietrzny. Nożyce, przycinając bezlistne gałęzie, zgrzytają głośno, gniewliwie.

Patrzę nań i myślę sobie: ani potop powszechny, ani trzęsienie ziemi nie potrafiłoby przeszkodzić temu człowiekowi w jego pracy. A gdyby się okazało, że trąby archaniołów, zwiastujących dzień sądu ostatecznego nie błyszczą należycie, ten człowiek niewątpliwie i archaniołów zgromiłby rzeczowo i surowo:

— Te trąby moglibyśta też raz oczyścić...

Przełożył M. Gł.

Z PAMIĘTNIKA WIĘŹNIA

„SZUBRACZKI"

W więzieniach, dla obu płci przeznaczonych, pomimo przepisów o najściślejszej izolacji, więźniowie mają w różny sposób możność zawiązywania kontaktów ze swymi towarzyszkami niedoli.

Taki kontakt, czy flirt na dalszą lub bliższą odległość ma w języku więziennym techniczną nazwę: „szubranie się". Ci, co to uprawiają, nazywają się wzajemnie „szubrakami" i „szubraczkami".

Ulubionym tematem wieczornych gawęd stały się projekty zrobienia pod pryczą otworu do sąsiadek.

Jeden z więźniów założył jakąś nicianą instalację do sąsiedniego okna i cały dzień był zajęty pisaniem płomiennych „grypsów" ekspedjowanych po nitkach. Teoretycznie nie mogliśmy mieć z koleżankami kontaktu: gdy je wypuszczano na korytarz, męskie cele musiały być pozamykane. Ale w praktyce zdarzało się często, że akurat w tym czasie wracała jakaś grupa ze spaceru, kończył się wykład lub wymiana książek w szkole, wracało się z ambulatorjum. Najlepszą okazją do nawiązywania „szubrackich" stosunków jest spacer. Gdy kobiety wychodzą na spacer, więźniowie wiszą na okiennych kratach, pomimo surowych zakazów i upomnień wartownika. Rozmowa toczy się na migi, towarzyszą jej najczulsze, omdlewające spojrzenia i uśmiechy, kiwania głową, wskazywania ręką na usta lub serce.

Z wyjątkiem jakichś staruszek, przebywających w więzieniu „za pacierze", czyli za włóczęgostwo i żebraninę, reszta przechadza się z najwyraźniejszą chęcią podobania się, wprost olśnienia obserwatora

zza kraty. W każdym ruchu nóg i bioder można wyczuć chęć podbojów i tryumfów. Niemniej gorących uczuć doznaje większość mężczyzn, którym wypadnie promenować pod gradem spojrzeń, zamkniętych w celi kobiet. Pod czarem tych spojrzeń miny tracą swój zwykły wyraz bezdennego znudzenia i nabierają cech zdobywczych i uwodzicielskich.

***

Duszna, letnia, upalna noc... Miasto usnęło. Sen zmorzył wreszcie więzienie. Przez otwarte okna słychać oddech dziewięciuset ludzkich piersi. Upojnie pachną klomby maciejki na pustych spacerowych dziedzińcach. Ciszę przerwie czasem czyjeś głośne westchnienie, czyjś jęk cichutki przez sen, lub kobiecy szloch. Czasem lekko zadzwonią we śnie poruszone kajdany jakiegoś skutego za karę, nieszczęśnika w ciemnicy. Więzienie śpi!

Miarowo, powoli człapią pod oknami nogi wartownika. Milkną w oddali. Znów się przybliżają, aby ucichnąć za chwilę. Ucichły. „Józka! Józka", słyszę przyciszony głos. Pochodzi z któregoś narożnego okna zbiorowych cel męskiego budynku. Okna te są oddalone zaledwie o jakieś 10—15 metrów od okien narożnej zbiorowej celi budynku, mieszczącego oddział kobiecy. Wartownik jest w tej chwili od tych okien o 60 metrów, ja w swej pojedynce — o 20 m. Wartownik więc słyszeć nie może. „Józka!" — „To ty — Stasiek"?, odzywa się szubraczka. „Ja"! — „A czego chcesz?" „Józka! Chodź do mnie!" — „Głupi! Chodź ty do mnie". Kroki wartownika się zbliżają. Dialog się urywa. Przechodzi długa chwila. Znów cisza. „Józka! Józka! „Tak do samego rana. „Nie dasz rady, Stachu!" „A zobaczysz..." Przechodzi wartownik, wszystko cichnie...

***

Krew mi dudni w skroniach. W rozpalonej wyobraźni widzę jak oto jedno z tych dwojga kochanków cudem jakimś zakrada się teraz do celi drugiego... Szuka kochanka... Szmer budzi innych... I zamiast ramion stęsknionych kochanka — chwyta go piętnaście par rąk, wydziera, rozrywa. Charkot wściekły, krótkie świszczące oddechy rozjuszonych bestyj... Dzika śmiertelna walka o rozkosz. Rozerwą na kawały... na strzępy, zanim zdoła zaznać rozkoszy...

Przyciskam czoło do krat. Chłodzę żelazem. Cisza... kroków nie słychać... Szmer nieuchwytny oddechów dziewięciuset umęczonych piersi ludzkich.

Cichy spazmatyczny szloch przez sen. Cichutko zadzwoniły kajdany... Uparcie pachnie maciejka. „Stachu — śpisz?" „Nie mogę"... „Cicho! Znów idzie!" Miarowo człapią senne kroki wartownika. Księżyc wyjrzał zza obłoczka i rzucił srebrną poświatę na miasto i uśpione więzienie. Cichną kroki... „Józka! Śpisz?"...

Zatrzasnąłem okno. Zrzucam ubranie i padam na tapczan. Celę przepełnia jakaś gorąca, wilgotna duszność. Trochę w tem zapachu maciejki... po kątach łazi księżycowa poświata. Krew w skroniach wali jak młotem...

O szarym brzasku spływa na mnie litościwy sen...

***

Kto przeżyje kilka takich nocy więziennych, — ten zrozumie, dlaczego zdrowe, rumiane, wiejskie parobczaki, po kilku miesiącach więzienia, mają błędne, zapadłe, podkrążone oczy. *W. W.*



W TEATRZE

Coraz częściej recenzent teatralny znajduje się w dziwacznej sytuacji: nie ma o czem pisać. Czem się to dzieje? Ani Warszawa nie jest małem miastem, ani teatrów u nas nie brak, a jednak życie teatralne jest niemal w zaniku. Premjery odbywają się niezmiernie rzadko, przeciętnie co dwa, trzy miesiące w każdym teatrze, z tego — połowa wznowień. Pozatem z nadejściem ciepłych dni zaczyna się plaga „repertuaru rozrywkowego". Nie jestem bynajmniej nadęta i uroczysta i wcale mi nie zależy na ponurości w teatrze, ani na repertuarze klasycznym, który w nadmiarze też może się stać plagą. Śmiech i wesołość są darami tak bezcennemi, że nigdy nie może ich być za dużo. Ale kiedy ów „repertuar rozrywkowy" najczęściej nie jest wesoły. Przeciwnie, w większości wypadków jest smutny i nudny, płaski i bezbarwny. Niewybredny widz może się na nim bawić, wybredniejszy — męczyć; ale w każdym razie pisać niema o czem.

Chyba, gdyby sobie powiedzieć, że i w złych sztukach zawiera się pewien materjał do rozważań, że wytknięcie pewnych błędów i nawet zamyślenie się nad głupstwem może mieć cel nie mniej istotny, niż zachwyt nad wartościowem dziełem. Zamykanie oczu na bzdurę byłoby dobrowolną ślepotą, skoro ta bzdura ma odbiorców, skoro jest na nią zapotrzebowanie.

Dwie takie niemądre komedyjki pokazano nam w Teatrze Małym i w Kameralnym u Adwentowicza. Jedna Sarmenta, druga Antoine'a. Obie, niestety, francuskie. Powiadam: niestety, bo we współczesnej produkcji francuskiej znalazłoby się mnóstwo sztuk wartościowszych, a choćby tylko zabawniejszych. Obie te sztuki są w niezrozumiały sposób staroświeckie. Rodzaj ich dowcipu, ich problematyka, dobór sytuacji sprawiają wrażenie że były pisane conajmniej przed pół-wiekiem. Zwłaszcza Antoine bije pod tym względem wszystkie rekordy. „Nieprzyjaciółka" jest paszkwilem na kobietę, ale nie ma w sobie twórczej trucizny, obłąkanej, ale celnej pasji Strindberga, nie ma też satyryczno-wychowawczych aspiracyj dawnej comèdie rosse. Jest to poprostu trywialna historyjka o interesownej pannie, która przedewszystkiem żąda forsy w małżeństwie, która jest megerą w domu po zamążpójściu, która wreszcie zamęcza na śmierć kochanka wymaganiami miłosnemi. Paszkwil na pewien typ kobiety pasorzytującej na mężczyźnie, na typ który powoli zanika, ale jest jeszcze aż nazbyt rozpowszechniony, miałby swoją rację bytu, gdyby autor potrafił wydobyć jakąś świeżość z tematu, bardzo już zresztą ogranego. Ale na znany temat mówić same komunały, robić dowcipuszki na poziomie „Muchy", szukać „oryginalności" w rozmowie trupów po cmentarzu!

Oto obraz letniej sztuki „rozrywkowej". Zresztą nie wińmy zbytnio Adwentowicza. Teatr prywatny musi siłą rzeczy rządzić się nietylko względami artystycznemi, zresztą Teatr Kameralny potrafił nam dać dotychczas sporo wartościowych przedstawień.

Gorzej się rzeczy mają z Teatrem Małym. Wielka machina T. K. K. T., która zresztą teraz na szczęście ulega reorganizacji, rozporządzająca pieniędzmi, kilkoma ludźmi, których wyłącznem zadaniem jest układanie repertuaru, mogła doprawdy sprowadzić nam z Paryża coś smakowitszego, niż tego kieszonkowego Pirandella, skrojonego na miarę prowincjonalnych handlowców. Aż się wierzyć nie chce, że w Paryżu ktoś, i to w dodatku poeta, może marzyć o Hiszpance „jako takiej" i zrazić się do dziewczyny, dowiedziawszy się, że jest Francuską. To tak jakby u nas ktoś marzył, że jego ukochana jest Łotewką i przeżył kryzys miłości, dowiedziawszy się że pochodzi z Warszawy. Idjotyzm tego konfliktu, który może mógł istnieć sto lat temu kiedy komunikacja była utrudniona i nawet sąsiedni kraj wydawał się za górami, kiedy egzotyka hiszpańska szczególnie była w modzie, jest jeszcze pomnożony przez naiwny snobizm na punkcie angielskiego lorda, który temuż skretyniałemu poecie bardzo imponuje. Kiedy okazuje się że lord nie jest lordem, a Hiszpanka — Hiszpanką, biedny półgłupek jest mocno zawiedziony i nawet cierpi. Rzekoma teatralizacja życia, jego poetyzowanie jest tu tylko naiwnym bluffem, takim snobizmem, problematem ludzi bez treści, którzy pustkę swoją gwałtem chcą zapychać barwnemi gałkankami. Nicość tej sztuki została jeszcze pogłębiona wadliwą grą bez humoru, dowcipu, bez podkreślenia groteskowości sytuacyj, bez charakterystycznego ujęcia ról.

Miejmy nadzieję, że następny sezon przyniesie nam bliższy i istotniejszy kontakt z teatrem francuskim.

Irena Krzywicka.

OD DZIECIŃSTWA DO MATURY

(ciąg dalszy)

III. LUDZIE NA WSI

Niedaleko krzyża za gospodarstwem Jugerów jest zagroda Zudów. Wśród krzaków dzikiego agrestu i pokrzyw stoi obora, ulepiona z gliny, pokryta słomianą strzechą. Dziwne gospodarstwo, sama tylko obora z dwoma oknami, jak duże szpary, z drewniano-glinianą sionką przed jednemi drzwiami i z gnojówką przed drugiemi. Ani stodoły tu niema, ani chlewu, ani kurnika — tylko dziwna obora z przybudówką i dwoma wejściami. Pociągnęłam Kuńcię za rękaw —. No chodźmy do tej Zudowej, gdzież to jest ich dom, Kuńciu?" — Kuńcia obejrzała się raz jeszcze wokoło bezradnie — „A bo ja wiem, może to nie tu". Naraz z przybudówki wyszło dziecko, dziewczynka, może dziesięcio czy jedenastoletnia. Słyszała rozmowę na podwórzu. Przysłoniła ręką oczy, przymrużyła je i po chwili, snać jeszcze nie widząc nas dobrze spytała: „A czego?"

„My do Zudowej", — odpowiedziała Kuńcia. Dzieciak wykrzywił się: — „Mama leżą, do roboty nie pójdą, to i nie ma poco do niej iść. A jak do kądzieli, to ja już zdatna, przędłam dla Wrokowy bez parę dni i dobrze. Może wy co macie do „odróbki?" Kuńcia zaprzeczyła.

„Chciałyśmy zobaczyć się z twoją matką, mała. Pokaż nam gdzie leży. Do roboty nie zabierzemy mamusi, bo chora, więc nie bój się" — zaczęłam wreszcie sama prosić. Dziecko spojrzało na mnie nieprzyjaźnie, nieufnie i nic nie rzekłszy, weszło do obórki.

„Nie dziwuj się jej — odezwała się Kuńcia. Tutaj wszystkie dzieciaki są takie głupie. Boją się obcego, bo myślą zaraz, że przyszedł ktoś na „zwiady". Jakbyś jej dała bułkę, to zaraz zaprowadziłaby cię gdzie tylko byś chciała. U nas to wszystko takie dzikusy. Chodźmy do domu". Ruszyłyśmy do drogi. Naraz skrzypnęły drzwi od obory i wyszła znów mała. Dopędziła nas już za krzakami, pociągnęła Kuńcię za sukienkę i rzekła: „Mama kazali, cobyście przyśli do ni. Powiada, że już jutro do roboty pójdzie, jak będziecie chcieli, a dzieciaka, to już ja doglądnę". Poszłyśmy za małą.

Prowadziła nas wprost do obory. Myślałam, że matka jej podniosła się, by wydoić krowy i dlatego tam idziemy. Tymczasem weszłyśmy do ciemnej sionki, urządzonej w przybudówce. Sionka ta, bez okna służyła widocznie tej rodzinie za kuchnię. W rogu, przy ścianie stała żelazna mała kuchenka, na której gotowano przy świetle wpadającem przez otwarte drzwi. Pod ścianami stały kubły, stołki, korytko, jakieś skorupy... Tuż przy drzwiach wiodących w głąb tego okropnego domu leżała słoma, od której rozchodził się po całym tym ciemnym kącie, wstrętny zapach kurzego nawozu. Kuchnia ta snać była i kurnikiem jednocześnie. Minęłyśmy „kuchnię" i potrącając w mroku o porozrzucane skorupy i garnki, weszłyśmy do „właściwego mieszkania" Zudów. Przy mętnem świetle, wpadającem przez brudne, pozalepiane papierem okno podobne do szpary trudno było coś dojrzeć. Powiedziałyśmy „pochwalony" i stanęłyśmy bezradne przy drzwiach. Z kąta tej strasznej nory głos cichy, jak z pod ziemi, odpowiedział nam: „na wieki".

Po długiej chwili, gdy wzrok już przyzwyczaił się do mroku, rozejrzałam się dokoła. I znów nie wiedziałam, czy to jest pomieszczenie dla bydła, czy jest to tylko obora, służąca za piwnicę, czy jakiś skład... Pod ścianami naokoło leżały wiąski słomy, na których znajdowały się jakieś ciemne szmaty. Na środku stał długi stołek, z boku — jakaś skrzynia i to wszystko. Zaduch panował tu nie do zniesienia. Nie było czem oddychać. Od strony ściany z desek, odgradzającej tę norę od drugiej części obory szedł okropny smród świńskiego nawozu. Nie mogłam jeszcze zorjentować się, gdzie leży Zudowa. Ona tu przecież jest, odpowiedziała nam przecież „na wieki".

Kuńcia pierwsza odgadła i pociągnęła mnie za sobą w kierunku posłania kobiety. Na niskiej, zbitej z desek pryczy wysłanej niczem nieokrytą słomą leżała Zudowa. Koło niej w brudnych, koloro-

wych szmatach grzebało się maleńkie, jak laleczka dziecko. U nóg Zudowej siedziało dwoje małych rozczochranych, brudnych dzieci. Opodal, na barłogu, na ziemi, spały trzy skulone wynędzniałe maleństwa. Wtedy zobaczyłam jej twarz. Zapadłe w głębi, pod wypukłem czołem, ciemne oczy, obwiedzione sinemi podkowami, długie czarne włosy opadające w nieładzie na plecy, duże, blade usta, żółte wychylające się z pod niedomkniętych warg zęby, zapadłe policzki. Kobieta, wychudłą, kościstą, żółtą ręką zgarnęła na piersiach łachmany, odsunęła opadające na czoło włosy i westchnąwszy głęboko, rzekła: „A z czem to Bóg prowadzi? Może macie jaką robotę w polu, albo na krosnach? A skąd wy?"

„Z Sosenkowa, od Solaków — odparła Kuńcia. Byłyśmy u Janikowej za gęsiami. Mówiła żeście chora. Chciałyśmy zobaczyć małego."

„Chciałyśmy spytać, może pani co potrzeba?" pospieszyłam zatuszować niefortunne, w mojem mniemaniu, wyjaśnienia Kuńci. Taka nędza — myślałam, a ona tu prawi o zobaczeniu małego. To przecież okropne. Miałam wrażenie, że Zudowej musi być bardzo przykro, gdy ktoś w takiej biedzie przychodzi tylko po to, by zobaczyć jej dziewiąte, nieszczęśliwe dziecko.

„Czy mi co trzeba — ciągnęła dalej Zudowa. — Panienko jasna, trzeba, trzeba, jeszcze i jak trzeba. Niedługo będą żniwa, teraz przednówek. Chłopisko moje całe dni chodzi za robotą. W chałupie nie ma nic. Dziś zrana Janikowa przysłała koszyk kartofli, na szczęście dla małego. A jutro? Oj, myślić trudno. Dzieciskom sklepikowa dała wody z wódką, bo płakali jeść. Teraz cicho, śpią. A co jutro? Jeszcze to maleństwo Bóg zesłał za karę. Jak ja zdrowa i chodzę, to choć u Janikowej za służbę codzień koszyk kartofli dostanę, to i żyjem. A teraz... Dziś Jasiek z Mańkiem poszli do krów na Krachy, ponoć pastuch zachorzał. Może choć jeść im dadzą. Ale my, co my zrobimy? Panienko, może u was macie jaka robotę, bo ja i jutro jużbym poszła, pomóżcie. Krzyczałam na Jadwigę, że nie chciała was tu przyprowadzić. Myślałam, że kto ze wsi przysłał, żeby do roboty iść. Już-em zdrowa, już pójdę. Nie bójcie się, nie upadnę, będę pracować."

Nędza! — zdawały się krzyczeć wszystkie ściany, barłogi, stołki, skorupy, łachmany. Nędza! — syczało brudne okno - szpara. Nędza! mówiły blade twarze śpiących maleństw.

Gdybym mogła im pomóc, gdybym mogła czemś z nimi się podzielić... Ale czem? Nic nie mam. Przecież sami jesteśmy przez całe lato prawie na łasce kuzynów. Czekamy na żniwa; zawsze po zbiorach zostajemy jeszcze 3 do 4 tygodni na wsi, by na pobliskich polach zamożnych ziemian uzbierać choć metr kłosów żytnich na mąkę. Matka nic nie ma, pieniędzy tatuś nie dał, bo słyszałam, jak naradzali się z mamusią, że na wsi jakoś przeżyjemy, trochę dadzą nam w Sosenkowie, trochę z Poświcia, z Zieleńca, z Rybników, a zaoszczędzone w ten sposób pieniądze będą na buty i książki do szkoły. Skąd więc wziąć, jak im pomóc?

Pocieszyłam Zudową, że może jakoś Bóg pomoże i wszystko zło się skończy; że przyjdę codziennie i postaram się choć trochę jej ulżyć. Jeszcze w przybudówce koło drzwi od podwórza gonił mnie przerywany szlochem głos nędzarki: „Niech Bóg błogosławi ci jasna Panienko".

I może rzeczywiście Bóg mi błogosławił, bo przez 6 tygodni, okrągłych 6 tygodni Kuńcia codziennie klęła złodziejów, którzy jajka z kurnika kradną, lub dla odmiany biła miotłą kury za to, że jaja gubią, ale nikomu do głowy nie przyszło i nikt nie ośmielił się posądzić „jasnej panienki" o kradzież. I sama wtedy wierzyłam, że właśnie dzięki opiece i błogosławieństwu Boga przez tak długi czas udawało mi się podbierać od 7 do 10 jaj dziennie i wynosić w rów, aż hen z 500 metrów od chałupy pod brzezinowy lasek. Tak przecież chciałam pomóc Zudom! I tak nikt u nas na tem nic nie stracił. Mieliśmy chleb, kartofle, mleko, jarzyny i owoce, nie dostawaliśmy już tylko codziennie na kolację jaj, bo kury gubiły je „po krzach", albo pewnie Józek od Maciaków podbierał kurze gniazda. Tymczasem u Zudów codzień po południu witały mnie serdecznie umorusane dzieciaki i siedem par małych, chudych rączek wyciągało się chciwie po chleb (Jasiek z Mańkiem za „strawę" paśli krowy na Krachach). W sklepiku u Ciukowej zawarłam potajemną umowę, mocą której za 8 jaj i napisanie od czasu do czasu listu do jej syna pełniącego służbę wojskową, aż na rosyjskiej granicy, dostawałam 1½ kilograma chleba. Było mi teraz dobrze i lekko. Nikt w domu nie dziwił się, że tak często odwiedzam Zudów. Wiedzieli o tem, że bardzo lubię dzieci; Ciukowa nie miała okazji spytać matki mojej dlaczego aż do Cumina przysyła mnie po chleb lub co gorsza dlaczego Kuńcia i dla nas jednocześnie chleba nie piecze; Zudowa milczała i dziwiła się tylko, że nie życzę sobie, aby ludzie wiedzieli, że matka moja jest tak dobrą i miłosierną kobietą. Mówiłam bowiem jej zawsze, że to mamusia przysyła chleb dla dzieci.

Od czasu pierwszej pamiętnej wizyty u Zudów zaczęłam inaczej patrzeć na życie wieśniaków. Zrozumiałam, że skryty, nieufny chłop milcząc cierpi, a trzymany mocno „w ryzie" przez księdza plebana cicho znosi swój ciężki trud dla „odkupienia wiecznego". Wszyscy pracują, głodują, w pocie czoła zdobywają każdy kęs czarnego chleba na „Chwałę Ojca Niebieskiego". Od wschodu słońca, aż do zupełnego mroku po zachodzie z półgodzinnym odpoczynkiem w południe, częstokroć o kawałku suchego chleba i butelce mleka pracuje ciężko parobek, fornal i pastuch u pana na Nacpolsku lub Złotopolu. Pięknie brzmią piosenki ludowe przy żniwach i podczas powrotu o zmierzchu do „czworaków", jakże jednak odmiennie brzmią głosy tych biednych niewolników pod strzechami... Dlaczego ci ludzie śpiewają?... pytałam nieraz sama siebie, przecież dola ich, to krwią i potem zdobyty czarny chleb. Śpiewają... bo w polu, wśród tęgich pańskich, ślicznych zbóż, wśród łąk, słońca i lasów zapominają o tem, czem jest ich życie. Nie widzą swych nędznych chałup, nie myślą. Ot, przywykli do jarzma z dziada, pradziada. W izbach ciemnych, nędznych, obdartych, pełnych dzieci skamlących, pełnych swarliwych bab, pełnych trosk — klną swoją psią dolę, wyszedłszy jednak stąd parę za „czworaki" w pola, na piękny boży świat — zapominają. Księżulo chwali pracę z pieśnią zbożną na ustach, więc czemuż mają jednocześnie nie pracować i na wolny wstęp do raju? A włościanie? Ci pracują na

swojem, ale, jak często słyszałam podczas zebrań u sołtysa, że na podatki, dodatki do podatków i żeby ziemia w ugór się nie zmieniła. „Tać, moja panienko, skarżył się kiedyś przedemną stary Marchołt, człek pracuje jak wół, byleby tylko na sól do kartofli zarobić, bo reszta... Et, Boże Ty mój, — podatek od ziemi, dodatek do podatku, a to „pożarne", a to „dymne", a to „drogowe", a to „kopytkowe" i tak bez liku. Zebrałeś zbiory, powiozłeś żyto do miasta, a tu patrzysz i świniak nie dla ciebie, i jego sprzedać trzeba, bo na podatek nie starcza. Tak i przywieziesz z miasta kwartę soli i szklankę nafty z całego „dochówku". Takie życie!" — Przysłuchiwałam się tym zgorzkniałym wyrzekaniom pełnym rezygnacji... Wieś, natura, pełna czaru przyroda — ta się nie zmieniła, lecz już od tych wakacyj nie zazdrościłam ludziom życia na wsi.

Na dwa tygodnie przed końcem wakacji, jak zresztą co rok, zaczęła się dla mnie i całej mej rodziny praca. Znikły już z pól dziedzica nacpolskiego stygi pszenicy i żyta. Poszliśmy gromadnie na kłosy. Trzeba się było zwijać, by nie przeszły zapachem ziemi ziarna. Od rana, aż do wieczora, zbieraliśmy po rozległych rżyskach kłos po kłosie w „garstki", w „mendle", w „kopy". Po kilku tygodniach odpoczynku żadne z nas nie uchylało się od obowiązku, odpłacania rodzicom za „letniaki". Wiedzieliśmy przecież, że ojciec się tak zawsze tem chlubi, że dzieci jego to nie darmozjady. Z każdych wakacyj, jak tylko zapamiętać mogę, przywoziliśmy do Warszawy dwa duże wory mąki, mamusia przywoziła kilka worków kartofli, które otrzymywała „w prezencie" za pomoc przez całe lato w gospodarstwie i w polu przy żniwach. Czasem, gdy był ciepły, deszczowy rok udawało nam się przywieźć dużą torbe suszonych grzybów i kilka butelek soków; jagodowego i malinowego.

Nauczono nas w domu starać się zapracować na każdą przyjemność już od najwcześniejszego dzieciństwa. Gdy miałam 11 lat, zabrała mnie na lato do siebie na wieś moja kuzynka, Marta. Po kilku dniach pobytu u niej usłyszałam kiedyś wieczorem, jak mówiła do swego męża: „Feluś, wisz, to warsiaskie paniątko i boję się, żeby nie wychlapała ojcu, ale jużem jej chciała parę razy powiedzieć, że taka duża dziewucha powinna krowy paść, jak jej się dobrze jeść daje, a nie tak tylko w dzidziusia się bawić. Toć i tak by jej dobrze było, a zato nasz pastuch poszedłby do żniw i zostałoby nam ze 40 złotych. Może byś ty ją jakoś wziął w „piąte strone". Bo ja za bliska jestem, mnie jakoś nie idzie". — „Ba, i ja na to liczyłem. Tymczasem okazuje się, że to leń i chce źreć za darmo". Nie czekałam, aż sami mnie „zachęcą" do pasania bydła. Nazajutrz rano wstałam i poszłam w pole, wzięłam bicz od pastucha i kazałam mu iść, bo go pan woła. Całe lato pasłam krowy, pokaleczyłam sobie nogi o rżysko i głóg w zagaju.

Dzień pędził za dniem. W stodole Kuńci rosły nasze wiązki kłosów, aż wreszcie, gdy już nacpolskie pola zostały oczyszczone przez dziesiątki grabi konnych, przystąpiliśmy do „młócki". Wacek, brat Kuńci, młócił cepami, ja z mamusią i Kazią kijankami i tłuczkiem od kartofli. Krótka to jednak była młócka, trwała zaledwie 3 godziny, ale matczysko cieszyło się, że i tak dużo w tym roku nazbieraliśmy kłosów. Ziarna wymieniliśmy w młynie u Antczaka na mąkę i zaczęliśmy się przygotowywać do odjazdu. Wstałam przed wschodem słońca, by jeszcze zobaczyć poranne zorze, by się nasycić widokiem budzącego się dnia. Trzeba było jednak wracać. Moje gimnazjum, już teraz piąta klasa, moja nauka... Wiedziałam przecież, że spokój i radość nigdy długo trwać nie mogą.

IV. PIĄTA KLASA

Piąta klasa. Po uroczystem szkolnem nabożeństwie podyktowano nam spis podręczników i zwolniono do domu. Przełożona zatrzymała mnie już na schodach i zabrała z sobą do swego pokoju. Musiałam opowiedzieć jej wszystko o moich wywczasach na wsi. „No moje dziecko — rzekła na zakończenie tej długiej pogawędki — zabieramy się znów do pracy. Wierzę, że dzielnie przejdziesz przez całe gimnazjum, aż do matury. Przygotowałam ci tu książki, potrzebne ci w klasie piątej. Są wszystkie. Nie będziesz więc martwiła się tym wielkim wydatkiem. Zeszyty i bruljony będziesz mogła kupić po zniżonej znacznie cenie w naszym sklepie „Samopomocy" — będzie ci więc lżej, niż w roku ubiegłym. Rozmawiałam już z matkami twoich uczenic i Adasia. Będziesz ich uczyła tak, jak dawniej".

Szłam do domu nie widząc nic przed sobą. Łzy zasłaniały mi oczy. Mam książki! Około 30 złotych zostanie mamusi dla młodszych!

Życie moje popłynęło dawnym torem. Od 2-ej do 5-ej korepetycje na mieście u Adasia i dziewczynek, potem gospodarstwo w domu z mamusią, czasem godzina lekcji z młodszym braciszkiem, Stasiem, a wieczorem, gdy wszystkich sen uspokoił — przygotowywanie lekcyj na dzień następny. Przy małej naftowej lampie pisałam, czytałam, uczyłam się na pamięć formułek i wierszy i marzyłam, przy algebrze do późnej nocy. Tak było do listopada. W pierwszych dniach tego miesiąca zachorowała siedząca ze mną w jednej ławce koleżanka. Córka nauczyciela naszego gimnazjum — Lala. Nie było jej kilka dni. Ojciec jej wtedy zwrócił się do mnie z prośbą, bym przyszła do Lali powiedzieć jej co mamy zadane i pobawiła się z nią. Po skończonych lekcjach stanęłam przed domem Lali. Drzwi wiodące na schody, jak się domyślałam, ciężkie, wielkie, okute żelazem drzwi, były zamknięte. Zobaczyłam z boku guzik od dzwonka, nacisnęłam i czekam. Nikt jednak nie otwiera mi. Nacisnęłam guzik drugi raz, trzeci, czwarty... Nic. Ciągle tylko odzywa się jakieś warczenie, trzeszczenie dzwonka, potem znów cisza... Stałam pod temi drzwiami bardzo długo, nikt nie wychodzi. „Co za dziwny dom — pomyślałam — ani żywego ducha nie widać, ani dozorcy... Nic." Postanowiłam już wrócić do siebie, gdy wtem usłyszałam czyjeś kroki za drzwiami. Nareszcie wejdę — ucieszyłam się. Była to zdenerwowana tak długiem dzwonieniem służąca Lali. „Cóż to, panienka oczów nima, czy co? — Otwieram i otwieram, a to nic jeno dzwoni. Panienka do panny Lali może? Ona chora i złości się, że ktoś tak dzwoni, jak na pożar!" — „Przepraszam, ale ja nie umiałam tych drzwi otworzyć".

(c. d. n.)

Czesława Kamińska.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

DRAMAT SANKCYJNY

W ostatnich dniach czerwca uruchomiono skomplikowany mechanizm procedury genewskiej, aby odwołać sankcje nałożone przez Ligę Narodów w drugiej połowie października 1935 r. na Włochy za wojnę napastniczą z Abisynją. Dramatyczną dyskusję genewską na ten temat poprzedziły uchwały rządu angielskiego i rozprawa w Izbie Gmin odbyta dn. 19 i 23 czerwca. Już jednak na parę dni przed temi obradami powszechnie było wiadomo, że W. Brytanja, organizatorka akcji międzynarodowej mającej na celu w drodze wspólnego działania wszystkich państw, uniemożliwienie Włochom zaboru Abisynji, wobec doznanej klęski zmienia politykę i gotowa jest wystąpić z inicjatywą zniesienia sankcji. Pierwszą jaskółką — było wystąpienie kanclerza skarbu Neville'a Chamberlain'a na bankiecie „Klubu 1900 r.". W przemówieniu wygłoszonem tam kanclerz skarbu nazwał szaleństwem propozycje lorda Roberta Cecil'a o utrzymaniu i wzmocnieniu sankcyj, jednocześnie bez ogródek wypowiadając się za ich zniesieniem, albowiem nie odniosły one skutku i dalsze stosowanie ich jest bezcelowe.

W pierwszej chwili rząd p. Baldwin'a tylko półgębkiem przyznawał się, że popiera oficjalnie tezę swojego ministra skarbu, odpowiadając, że wyraził on jedynie swoje prywatne poglądy. Przyciskany do muru w Izbie gmin premjer Baldwin, który już przywrócił do rangi ministra skompromitowanego poprzednio w tejże sprawie Hoare'a, oświadczył, że nie widzi w przemówieniu Chamberlain'a takich poglądów, których należałoby się wypierać

Taka była uwertura. Później przyszedł akt pierwszy, w którym min. Eden w sposób zupełnie prosty bez żadnego patosu, wzniosłych frazesów i deklamacji powiedział: omyliliśmy się, sankcje były obliczone na dłuższy okres trwania wojny, działanie ich zawiodło nas, gdybyśmy je chcieli rozszerzyć tak, aby stały się skuteczne, wywołało by to wojnę, wojować nie chcemy, a więc trzeba sankcje odwołać. Eden nie tragizował, nie wyrażał ubolewania, że sankcje wprowadzono: stało się, wypróbowaliśmy mechanizm przeciwwojenny Ligi Narodów, okazał się niezdatny, trzeba go zreformować, ale żałować nie mamy czego. Istotnie, minister brytyjski ma rację: świat stał się bogatszy o jeszcze jedno doświadczenie.

Reakcja opozycji w Izbie gmin na mowę Eden'a była pełna wysokiego napięcia, zarówno przedstawiciel Labour-party, Greenwood, jak liberał Lloyd George, nie szczędzili ostrych słów, aby odmalować swe oburzenie.

Po raz pierwszy w historji — mówił Greenwood — minister przyszedł nam powiedzieć, że W. Brytanja jest pokonana i cofa sę, rząd wypiera się swojego własnego programu, wyborczego, bo szedł na wybory pod hasłem paktu Ligi Narodów i sankcyj. Oto tchórze — wołał Lloyd George, wskazując na ławy ministrów. — Ci ludzie są po za nawiasem szanującego się społeczeństwa — dodał Greenwood. A we wniosku o votum nieufności dla rządu, który stał się kanwą dyskusji na następnem posiedzeniu, powiedziano krótko i jasno: „Rząd przez nieumiejętność prowadzenia zdecydowanej i szczerej polityki zagranicznej obniżył autorytet W. Brytanji na świecie, osłabił Ligę Narodów, naraził pokój na niebezpieczeństwo, a przeto zasłużył na votum nieufności". Rezolucja oczywiście nie zyskała większości. Nie świadczy to jednak o wielkim tryumfie rządu Baldwin'a. Partje opozycyjne rozpoczęły akcję w całym kraju, starając się — jak głosi rezolucja liberałów „zbudzić sumienie społeczeństwa". Chciano zmobilizować opinję angielską tak, jak to było przy planie Laval — Hoare, kiedy to pod naporem tej opinji twórca planu musiał ustąpić, a gabinet wyrzekł się swego kolegi.

Tym razem tego rodzaju rozwiązanie dramatu nie da się przeprowadzić. Wprawdzie rząd angielski nie mówi całej prawdy, bo przedewszystkiem nie tłomaczy należycie dlaczego sankcje zawiodły, nie wspomina, że nie były należycie stosowane, ukrywa także, iż skuteczność ich pomimo luk i dziur wzrastała z każdym dniem, czyniąc pętlę ich coraz ciaśniejszą na szyi gospodarstwa włoskiego. Pomija wreszcie milczeniem rząd brytyjski, że Anglo-Persian Oil Co (kompanja naftowa), w której rząd angielski posiada poważny udział prowadziła w 1935 r. już po wprowadzeniu sankcji wzmożone obroty z Włochami, osiągając zyski takie, iż dywidenda za ten rok została podwojona w stosunku do lat poprzednich. O tem wszystkiem pomimo prostoty i szczerości swoich wynurzeń min. Eden nie wspomniał ani razu. Natomiast nie można odmówić słuszności jego prostemu rozumowaniu, że Włochy zajęły już całą niemal Abisynję, że niema tam oporu zbrojnego zdolnego do przeciwstawienia się najeźdźcy i że sankcjami niepodległości Abisynji przywrócić się nie da, a wojny o niepodległość Abisynji nikt prowadzić nie zechce. Oto argumenty, które na opinję publiczną działają. Pozatem dochodzi do nich druga serja wywodów, która świadczy o nowem posunięciu angielskiem na szachownicy europejskiej: ta serja — to zwrócenie uwagi na Niemcy hitlerowskie, które pozornie wzywają wszystkich do rokowań i układów, a w rzeczywistości nie dają Anglji odpowiedzi na jedno zasadnicze pytanie, czy chcą na serjo i szczerze żyć w pokoju, uznając status quo w Europie.

Z pozycji przeciwwłoskiej przeniosła się dyplomacja angielska na stanowisko podejrzliwości wobec Niemiec. Z tego nie wynika, aby jutro lub pojutrze nie próbowała ona z Ribbentropem lub innym wysłannikiem Hitlera „dogadać się", ale, jak to niedawno powiedział w swoim okręgu wyborczym Ramsay Mac Donald: tylko dwie dyktatury w Europie mogą naprawdę chcieć wojny — Italja i Niemcy. Stwierdzenie tej prawdy kieruje chwiejnemi krokami polityki angielskiej, zmierzającemi do tego, by te dwa czynniki nie mogły pójść ręka w rękę. Zajęte obecnie przez W. Brytanję stanowisko nie zadowolni faszyzmu włoskiego, bo nie zawiera ani cofnięcia potępiającej agresję włoską uchwały genewskiej, ani uznania aneksji. Na razie jednak, mając w ręku odwołanie sankcyi Duce będzie swój zapał antyangielski hamował. Gra angielska będzie szła w tym akcie dramatu na torze niemieckim. Nie jest to przecież jeszcze ani akt końcowy, ani tembardziej epilog. Grają tu wciąż przeważnie kancelarje dyplomatyczne i ich kierownicy. Główni aktorzy narady, społeczeństwa, masy ludowe w

tych częściach sztuki przeważnie statystują z musu w milczeniu. Ułożony rozwój wydarzeń przerywa się, gdy kończy się to milczenie. A któż może przewidzieć, jak bliski jest koniec tego milczenia? Czasem cyfry suche są tego wskazówką.

Przemawiały one np. bardzo wyraźnie w tabelach miesięcznych bilansu handlu z Włochami, wskazując, że sznur sankcyjny za parę miesięcy może zdusić zwycięzcę. Dziś sznur ten będzie przerwany. ale czy wiemy, jakie ślady zostały po nim i jak wygląda Italja podziemna? Odezwała się ona niedawno we wspólnej odezwie demokratów, socjalistów i komunistów włoskich, którzy zwrócili się do demokracji całego świata o nie ustawanie w walce z faszyzmem. W odezwie tej znajdujemy takie zdanie „Tendencją, na którą skazane są wszelkie faszyzmy, jest zbieranie wszystkich sił dla napadu (agresji), stanowi to rosnącą groźbę ze strony faszyzmu włoskiego który po wyprawie abisyńskiej nie może rozbroić się, lecz gorączkowo czyni nowe przygotowania wojenne, szuka nowych zatargów, zagrażając bezpośrednio życiu pokojowemu narodów i postępowi społecznemu. Fałszywe propozycje pokojowe, które z musu w pewnych okolicznościach przejściowych czyni dyktator, niechaj nie wprowadzają was w błąd. Przeczą im czyny dnia wczorajszego i nieustające przygotowania do wojny". Oto głos idący „de profundis" Włoch.

A sytuację niemiecką od wewnątrz pomimo reklamowanej i propagowanej przez osobne ministerstwo powszechnej szczęśliwości oświetla kompleks liczb niedawno ujawnionych, a stwierdzających, że ogromne zapasy surowców, które Niemcy posiadały jeszcze przed rokiem, surowców z importu jak np. bawełna stopniały nieomal do połowy. Połknął je Moloch przygotowujący gorączkowo zbrojenia, połykając nakręcił t. zw. konjunkturę, zatrudnił przy głodowych płacach pewną ilość bezrobotnych, a jutro, nie mając za co nabyć nowych surowców, o ile nie porozumie się ze światem zachodnim, będzie musiał albo rzucić się w wir awantury, albo przerwać fałszywą konjunkturę i stanąć przy rozbitem korycie, od którego odepchnie go odrodzony masowy ruch społeczny.

Tak wyglądają dalekie kontury epilogu w chwili, kiedy jesteśmy jeszcze w samym nieomal gąszczu dramatu sankcyi i zbrojeń niemieckich, ponurych tworów dwóch dyktatur.

C. D.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

ODPOWIEDŹ.

Pod nagłówkiem „Prasa kominternowska w Polsce" czytamy w czasopiśmie *Zet:*

„Podajemy za „Myślą polską" i „Merkurjuszem" wykaz czasopism „czerwonego frontu" w Polsce, stojących na usługach Kominternu".

Dalej — spis 36-ciu wydawnictw, między któremi wymieniono *Epokę.*

O tem, co tu napisano o *Epoce* możemy tylko powiedzieć: plugawe oszczerstwo.

TEN GATUNEK...

Agencja „Iskra" stwierdza, iż w ciągu ostatnich 6 miesięcy sądy w całym kraju wydały — licząc tylko sprawy najważniejsze — 24 wyroki, skazujące członków Stronnictwa Narodowego za przestępstwa kryminalne.

SKOMPROMITOWANI KŁAMCY

Ostatnio w Polsce bawili goście z Francji i z Belgji: p. Bastian, adwokat z Brukseli, pani Morand, dziennikarka francuska, współpracowniczka lewicowej prasy, oraz p . Painlevé, syn znakomitego matematyka, b. premjera i b. ministra wojny Republiki Francuskiej.

Nasze pisma brukowe szczuły opinję publiczną przeciwko osobom tym przez cały czas ich pobytu w Polsce. Nie omieszkały również przedstawić ich jako zdradzieckich wysłanników kominternu, masonerji, żydostwa i innych apokaliptycznych bestyj. Oto naprzód jedna z licznych próbek wersalskiego tonu, prawdomówności a jednocześnie poczucia odpowiedzialności za głoszone słowo, wyjęta z *Gońca Warszawskiego* p. t. „Arogancka delegacja francuskiej Ligi obrony człowieka wreszcie opuściła Polskę". Czytamy więc tam: „Od kilkunastu dni kręciła się po Polsce, zachowując się w sposób arogancki, delegacja francuskiej Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela, organizacja o wybitnym charakterze masońskim i skłonnościach komunistycznych. Ci nieproszeni przez nikogo delegaci jeździli wzdłuż i wszerz Polski, a szczególnie zainteresowali się ośrodkami, w których niedawno doszło do krwawych zajść. Przytem odrazu weszli w styczność z żywiołami, objawiającemi oddawna sympatje komunistyczne. Ta arogancja delegacji oburzyła do żywego społeczeństwo polskie, czemu zresztą dała wyraz prasa, dziwiąc się, że władze tolerują kręcenie się po Polsce podżegaczy zagranicznych. Wreszcie nieproszeni delegaci zrozumieli zdecydowany nastrój społeczeństwa i wczoraj opuścili Polskę".

I cóż się okazało? Była to delegacja francusko-belgijskiego Towarzystwa Przyjaciół Polski a przybyła, iżby przygotować grunt pod pomnik dla dwóch sławnych bohaterskich Polaków: generała Jarosława Dąbrowskiego i Walerjana Wróblewskiego, dla których Francja żywi uczucia wdzięczności. Nadmienić jeszcze wypada, że w komitecie organizacyjnym tego Towarzystwa Przyjaciół Polski zasiada córka Curie-Skłodowskiej, pani Jolliot i jej mąż, Jan Painlevé i inni „podżegacze"!

Ilustrowany Kurjer Krakowski, który ochoczo podchwycił warszawską taśmę bzdurstw pospolitych, znalazł się w dość osobliwem i kłopotliwem położeniu. Bo oto ci „podżegacze, kręcący się po Polsce", zgłosili się osobiście w redakcji Kurjera w celu udzielenia prawdziwych informacji o sobie i o istotnych celach przyjazdu do Polski. Szybko spostrzegłwszy się, z kim mają naprawdę do czynienia i jak niefortunnie szermowali oszczerstwami pod adresem tych samych osób, panowie z *I. K. C.* uciekli się do fortelu, udając naiwnych a uważając widocznie swoich czytelników za bezgranicznie już naiwnych. Bo oto piszą: „Jak wiadomo w ostatnich dniach zjawiła się w Polsce delegacja francuskiej Ligi Obrony Praw Człowieka i Obywatela i jakaś druga, również lewicowa". Delegacja pierwsza „zachowywała się arogancko i istniały tendencje do wydalenia jej z granic Polski", delegacja zaś druga, której „przedstawiciele przybyli właśnie do naszej redakcji twierdzi, że nie wie wogóle o podróży przedstawicieli Ligi Praw Człowieka". W redakcji *I. K. C.* dobrze wiedziano iż innej delegacji w Polsce obecnie nie było, zaś szkalowali gości, wobec których robią teraz dobre miny...

MIESZKANIE W GROBIE

Wśród mieszkańców osady Skoczyn pod Kałuszynem rozeszły się pogłoski, że na cmentarzu parafjalnym, przy grobie zamożnej rodziny Górskich, coś straszy. Majaczą jakieś cienie, w nocy widać nawet płomień. Ostatnio wykryto tajemnicę. W murowanym grobie Górskich zamieszkała czteroosobowa rodzina niejakiego Jana Wielgusa, żebraka cmentarnego. W grobie zainstalowano nawet piecyk, Były pozatem sienniki, pościel, garnki oraz stara harmonja. Wielgus zeznał, że obecne „zarobki" nie pozwalają na inne mieszkanie. Zaś obecność trumien i sąsiedztwo zmarłych wcale im, obytym z cmentarzem, nie przeszkadza.

T. U. R.

W Krakowie odbyły się dwudniowe uroczystości kulturalne, urządzone przez Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych. Ze wszystkich stron kraju zciągnęły do Krakowa liczne robotnicze zespoły artystyczne. Niektóre z nich wyróżniły się swoją sprawnością i poziomem wyszkolenia, zwłaszcza chór śpiewaczy z Tarnowskich Gór, orkiestra z Nowego Sącza, koło dramatyczne z Łodzi. Śląski „Tur" reprezentowało 500 osób i 5 świetnych chórów śpiewaczych. Wśród górnoślązaków był także niemiecki chór socjalistyczny „Freie Sänger", przyjęty w Krakowie owacyjnie. Równie serdecznie witani byli polscy socjaliści z Czechosłowacji, którzy przybyli w liczbie 75 osób. Z Tarnowa przybyła delegacja w sile 200 ludzi, z Trzebini i okolic 300, duże również grupy przyjechały z Zagłębia Dąbrowskiego i naftowego z Krośnieńskiego, także z Radomia, z Gdyni, Wilna i t. d.

W przepełnionej sali Muzeum odbyły się wykłady dla działaczy oświatowych. Prelegenci „Turu" wszechstronnie omówili doniosłe zagadnienie oświaty robotniczej. Wieczorem w pierwszym dniu uroczystości odbył się wielki festival na pięknym dziedzińcu Bibljoteki Jagiellońskiej przy świetle reflektorów. Nazajutrz TUR w godzinach rannych urządził na Placu Jabłonowskich wielki mityng oświatowy, popołudniu zaś dwie akademje: jedną w sali Starego Teatru przy udziale 1.300 słuchaczów, drugą zaś w Domu Górników.

Dnie Krakowskie zaświadczyły o wielkiej sile i o doniosłem znaczeniu kulturalnem T. U. R., który się rozrasta mimo ciężkich warunków bytu robotniczego.

P. Bastian z Brukseli, delegat Towarzystwa Przyjaciół Polski, witał zjazd T. U. R. w imieniu francuskich i belgijskich uniwersytetów ludowych.

PRZECIW OSZCZERSTWOM

Unja Zw. Zaw. Pracowników Umysłowych i Rada naczelna Zw. Pracowników Samorządowych powzięły wspólnie następującą uchwałę w sprawie oszczerczej napaści na ruch zawodowy pracowniczy.

„W ostatnich czasach mnożą się ataki na ruch zawodowy pracowników państwowych, samorządowych i prywatnych lub poszczególne jego części, z okazji zdrowych i słusznych wysiłków, podejmowanych na rzecz konsolidacji tego ruchu.

Niektóre organy prasowe usiłują sfałszować cel tych wysiłków, insynuując im tendencje polityczne, a nawet wręcz podając w wątpliwość ich stanowiska państwowe.

Przedmiotem szczególnych ataków stał się Związek Nauczycielstwa Polskiego, którego poszczególne oddziały, zgodnie z ogólnemi tendencjami, domagają się zacieśnienia węzłów współpracy Związku Nauczycielstwa Polskiego ze wszystkiemi organizacjami zawodowemi, nie wyłączając organizacyj robotniczych.

Te uchwały dały powód kilku organom prasowym do zaciekłej kampanji przeciwko największej i zasłużonej organizacji nauczycielstwa polskiego.

Do wręcz oszczerczych zarzutów posunął się Ilustrowany Kurjer Codzienny, który uczynił władzom Związku Nauczycielstwa Polskiego zarzut „wszczepiania jadu bolszewizmu, partyjnictwa" i t. p.

Wobec powyższego, niżej podpisane organizacje uważają za swój obowiązek stwierdzić publicznie, że działalność Związku Nauczycielstwa Polskiego, zmierzająca do konsolidacji całego świata pracy, jest słuszna i celowa, że Związek Nauczycielstwa Polskiego spełnia doniosłą i pozytywną rolę w życiu państwowem i społecznem, a w konsekwencji — potępiają oszczerczą kampanję, prowadzoną przeciw tej organizacji przez niektóre organa prasowe, a w szczególności przez „Ilustrowany Kurjer Codzienny", znany z wrogiego stanowiska w stosunku do wszystkich instytucyj pracowniczych".

LISTY DO „EPOKI"

I.

W niewesołej żyjemy epoce. W epoce nieposzanowania wolności z jednej strony, a niezrozumienia jej — z drugiej. W epoce tryumfu przemocy, wyzysku, wypaczenia najpiękniejszych teoryj społecznych i rozkwitu haseł demagogicznych.

Przytem — załamały się ideologje. Jedne przeżyły się, drugie w trakcie ich realizacji okazały się nie do urzeczywistnienia, inne jeszcze zostały haniebnie wypaczone.

W takich warunkach, panowie, podejmujecie walkę z tem wszystkiem, co jest złe. Każde słowo „Epoki", począwszy od rozważań prof. Kotarbińskiego, a skończywszy na chwytającem bezpośrednością za serce, opowiadaniu p. Kamińskiej świadczy o tem, że nie brak wam odwagi w mówieniu prawdy w oczy.

Przeczytawszy Wasz pierwszy numer, zastanawiałem się przez jakiś czas, czy praca, przez Was podjęta, nie jest wyłącznie negatywna. Toby było niedobrze.

My, szary ogół czytelników, spragnieni jesteśmy świeżego powiewu, tęsknimy za ludźmi mówiącymi prawdę. Witamy ich z otwartemi ramionami. Ale spodziewamy się po nich, że prócz bezwzględnej krytyki dadzą nam pozytywną wypowiedź swoich poglądów, nie opierając się przytem o stare szablony, których bezużyteczność została już stwierdzona. Po zastanowieniu się więc, doszedłem do przekonania, że nie poprzestaniecie na ukazaniu w całej nagiej prawdzie groźnych, wstrząsających, lub wyciskających łzy bezsilności obrazów dzisiejszości. Że między szpaltami pisma Waszego znaleźć będzie można wezwanie do wyciągnięcia wspólnych wniosków. Że Wasza placówka będzie jednym z pierwszych stopni do wydźwignięcia się z tego zamętu, zdezorganizowania wewnętrznego i rozstroju, w jakim obecnie się znajdujemy.

Za odwagę wskazywania na to, o czem się myśleć nie chce i od czego się chętnie, tak chętnie, przeciętny słaby człowiek odwraca, za chęć podzielenia się z szarym ogółem Waszemi rozmyślaniami i obserwacjami, za dobrą wolę wytrwania na posterunku przyjmijcie od starego człowieka wyrazy prawdziwego szacunku i głębokiej, szczerej radości.

Warszawa. *Jan Wielita*

II

Jako nauczyciel, z wielką satysfakcją przeczytałem odprawę, którą „Epoka" dała „Ilustrowanemu Kurjerowi Krakowskiemu" Było to dobre odparowanie krytego sztychu, wymierzonego w plecy zrzeszonego nauczycielstwa. Uważam więc za swój obowiązek podziękować za to redakcji *Epoki.* Niech mi wolno będzie przy tej sposobności zaznaczyć, że właśnie takie nieprzytomne ataki ze strony zapienionego kurjera, utwierdzają nauczycielstwo w przekonaniu, że czas wielki jest wzmocnić walkę na wszystkich polach z zapleśniałem wstecznictwem i z terorem moralnym tych wszystkich prawdziwych spiskowców ciemnoty. Bo oni już uzurpują sobie prawo sądzić i wyrokować, jacy nauczyciele są powołani do wychowywania młodego pokolenia i jakie oni mają wyznawać przekonania. Nie orjentują się nieboracy, że im mocniej starać się będą pchnąć wahadło życia polskiego w prawo, tem mocniej odbije się ono w lewo. A chociaż stopień koleżeńskiej solidarności w szeregach nauczycielskich pozostawia jeszcze wiele do życzenia, to jednak jest pewne, że furja reakcji podniesie go szybko bardzo wysoko i przyspieszy proces zespolenia zawodowego całego nauczycielstwa, które już rozpoczęło walkę z przemocą tak społecznej, jak i duchowej reakcji. Raz jeszcze dziękując „Epoce", proszę o wydrukowanie listu niniejszego.

Z głębokim szacunkiem

Stanisław Jankowski

Łódź.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Tadeusz Breza: Adam Grywałd. Warszawa 1936. „Rój".

Jan Parandowski: Niebo w płomieniach. Warszawa 1936. „Rój".

Irena Krzywicka: Co odpowiadać dorosłym na drażliwe pytania? Warszawa 1936. „Rój".

Jan Otmar Berson: Kreml na biało. Warszawa 1936. „Rój".

Aleksander Świętochowski: Winko. Warszawa 1936. „Rój".

Bertrand Russel: Wiek XIX 2 tomy. Warszawa 1936. „Rój".

Mikołaj Bierdiajew: Nowe średniowiecze. Warszawa 1936. „Rój".

Franciszek Surówka: „Panta Rei". Skł. główny Gebethner i Wolff. Warszawa 1936.

Żanna Korman: „Materjały do bibliografji druków socjalistycznych na ziemiach polskich w latach 1866 — 1918". Z przedmową Ludwika Krzywickiego. Instytut Gospodarstwa Społecznego. Warszawa 1936.

Lola Szereszewska: „Niedokończony dom". Warszawa 1936. Księgarnia F. Hoesicka.

Andrzej Sokora: Rozdarty bruk. Warszawa 1936. M. Fruchtman.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani M. K. w Lublinie. Dziękujemy.

Pani J. K. w Warszawie. Ma Pani słuszność, ale przecież na złą wolę lub napastniczą głupotę nie mamy gotowych kagańców. Ludzie, co się czołgali u stóp zaborców pomawiają nas o... „wysługiwanie się Kominternowi"! Komuniści znów patrzą na nas jako na „dywersantów sanacyjnych"! Niezależne stanowisko pisma zawsze jest atakowane ze wszystkich stron.

Panu Z. L. w Zakopanem. Nie mamy, niestety, miejsca na tak obszerną pracę.

Pani E. O. w Warszawie. Prosimy jeszcze raz uważnie przeczytać. Jest to dowcipne ujęcie rzeczy, bez żadnej złośliwości. Tak samo fragment o masonach w „Kronice" A. Słonimskiego.

Pani Z. M. w Milanówku. Za słowa zachęty dziękujemy. Numery okazowe wysłaliśmy.

Panu Wł. Z. w Przemyślu. Znajdzie Pan w rubryce „Wydarzenia i dokumenty".

Panu J. St. K. w Częstochowie. Zapomniał Pan o cenzurze.

Od wydawnictwa

W ciągu czerwca, lipca i sierpnia 1936 roku „Epoka" ukazywać się będzie raz na dwa tygodnie, od września zaś r. b.—co tydzień.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA za czerwiec, lipiec i sierpień 1936 r. — zł. 3.—. Od wrześn a r. b. — kwartalnie zł. 6.—. Numer poj. 60 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 2087 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.